

Mistyfikacje

Antologia SF

Książka XXIII z *Stalo sie jutro*



calibre 0.9.43

ANTOLOGIA

MISTYFIKACJE

STAŁO SIĘ JUTRO TOM 23

Spis treści

JACEK SAWASZKIEWICZ - Mistyfikacje 3

I. Pięć miesięcy temu 3

II. Nazajutrz po moim powrocie 5

III. W redakcji 11

IV. Po lunchu 14

V. W trzy tygodnie po tych wydarzeniach 17

VI. W areszcie śledczym 26

VII. Podsumowanie 32

JACEK SAWASZKIEWICZ - Raport 37

JACEK SAWASZKIEWICZ - GUZIK 45

JACEK SAWASZKIEWICZ - Życie rodzinne 52

JACEK SAWASZKIEWICZ - PRAWDA 56

JACEK SAWASZKIEWICZ - Mistyfikacje

I. Pięć miesięcy temu

Pięć miesięcy temu przebywałem poza krajem, w Pretorii, gdzie Przedstawiciele Rady Bezpieczeństwa ONZ konferowali z przedstawicielami Aliansu Południowoafrykańskiego. Nie była to pierwsza konferencja tych przedstawicieli, świat bowiem od dawna niepokoił się militaryzacją państw, które zawarły wspomniany Alians. Tym razem jednak omawiano nie tyle kwestię budowy baz wojskowych, co ich uzbrojenia w maszyny bojowe „Blow”, przystosowane do lotów orbitalnych. Państwa wchodzące w skład Aliansu Południowoafrykańskiego zakupiły trzydzieści siedem maszyn tego typu i łamiąc konwencje międzynarodowe wyposażyły je w działa, których konstrukcja wzorowana była na konstrukcji japońskich „Hikari” - okrytych ponurą sławą i objętych ścisłym zakazem produkcji i stosowania. Do Pretorii poleciałem na koszt własny, nie korzystając z funduszków wyjazdowych korespondenta prasowego. Miało to tę dobrą stronę, że nie musiałem wysyłać do Decksance cotygodniowych sprawozdań z przebiegu konferencji, i tę złą, że z braku akredytacji praktycznie skazany byłem na łaskę i niełaskę informatorów z kręgu osób uczestniczących w rozmowach kularowych. Lecąc do Pretorii liczyłem więc przede wszystkim na swój węch, a także na swobodę działania, co jednak wybito mi z głowy bardzo szybko, już na lotnisku, gdzie celnicy czy też funkcjonariusze bezpieczeństwa zabrali w depozyt mój prywatny radiowifon i gdzie poinformowano mnie, że cudzoziemcom nie wolno wyruszać poza miasto bez zezwolenia władz municypalnych. Na ogół zatem przesiadywałem w hotelu trawiąc czas na lekturze miejscowych dzienników albo kręciłem się w pobliżu biur agendy ONZ, zwłaszcza przed gmachem głównym, w którego holu świetlna gazeta podawała na bieżąco komunikaty o dotychczasowych wynikach konferencji - w sposób zresztą nader oględny. Mierne to były wyniki, tak mierne, jak zawiła była forma komunikatów o nich; oficjalne środki masowego przekazu milczały ponadto o samej atmosferze obrad. Nie zanosilo się na żadną sensację, nic nie wskazywało nawet na rychłe rozstrzygnięcie spornych kwestii, toteż nudziłem się okrutnie. Wiedziałem, na przykładzie poprzednich, że pertraktacje przedstawicieli Rady Bezpieczeństwa ONZ z przedstawicielami Aliansu Południowoafrykańskiego utkną na martwym punkcie, mimo to nie mogłem zdecydować się na wyjazd z Pretorii. Dopiero telefoniczna rozmowa z Elie skłoniła mnie do powrotu. I to nagłego.

Z Elie rozmawiałem przez aparat pamiętający poczciwy, dwudziesty wiek i nie widziałem jej twarzy, ale gdy moja żona otworzyła usta, zorientowałem się, że sprawa jest poważna.

- Już straciłam nadzieję - powiedziała. - Ten hotel jest dziewiętnastym, do którego dzwonię. - Usłyszałem, jak przętyka ślinę. - Seymour, czy mógłbyś przylecieć do Decksance jeszcze dzisiaj?

Natychmiast udzieliło mi się jej zdenerwowanie. Przejęty, niemniej rad, że oto mam pretekst do opuszczenia tego małego gościnnego kraju, zerknąłem odruchowo na zegarek.

- Musiałbym to sprawdzić z rozkładem lotów. Był kwadrans po ósmej i gdybym do południa

złapał samolot, przed północą dotarłbym do domu.

- Poczekaj chwilę... - zacząłem. Elie przerwała mi.

- Przepraszam za ten alarm - powiedziała jakby spokojniej. - Jestem trochę roztrzęsiona. Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

- A co się w ogóle stało? - zapytałem. Nie od razu odpowiedziała.

- Najgorsze jest już za nami - westchnęła. - Seymour, nie chciałabym, żebyś z kolei ty zaczął się denerwować. Zend utrzymuje, że najdalej za tydzień Albert będzie...

- Albert! - rzuciłem do słuchawki. - Miał wypadek?!

- Właściwie to nic groźnego. Jest już po operacji i zdaniem Zenda za tydzień pobije rekord życiowy na tym torze przeszkód.

Tor przeszkód to było wtedy nowe szaleństwo Alberta i jego koleżków. Od początku ferii szkolnych chłopcy urządzali sobie zawody sportowe w Parku Winstona Churchilla, ustanawiając własne rekordy sprawności, zręczności, wytrzymałości i czegoś tam jeszcze. Zwykle z tych zawodów Albert wracał potłuczony, z siniakami, czasem z rozdartą odzieżą. Kiedyś poszedłem zobaczyć ów tor i na widok karkołomnych wyczynów mojego syna ścierpła mi skóra. Przed swoim odlotem do Pretorii radziłem Elie, żeby zwróciła baczniejszą uwagę na to, w jaki sposób Albert spędza wolny czas, ale ona oczywiście zbagatelizowała tę radę.

- Jest po operacji i za tydzień pobije rekord? - zawołałem dramatycznie. - W tydzień po operacji nikomu nie udało się pobić żadnego rekordu, chyba że masz na myśli rekord w napełnianiu basenu.

- Ściśle biorąc, to nie była operacja - odparła Elie. - Zend mówi, że to był zwykły zabieg.

- On nazywa zwykłym zabiegiem nawet transplantację ludzkiej głowy.

- Seymour - głos mojej żony zabrzmiał teraz potulnie nie masz się czym przejmować. Już jest wszystko w porządku.

Zachnąłem się w duchu. Nigdy nie zrozumieję matek, które bez krzty wyobraźni i nadzoru pozwalają swoim dzieciom hulać po wertepach, a kiedy ich pociecha nabije sobie guza czy zadrapie skórę na kolanie, rwą włosy, dostają hysterii, spazmują i wpadają w skrajną rozpacz, żeby wreszcie - po zaalarmowaniu służby porządkowej, pogotowia ratunkowego, straży pożarnej i po oddaniu szczeniaka pod opiekę czołówki europejskich chirurgów - uspokajać tych wszystkich z otoczenia, co do końca nie stracili głowy i od początku z rozwagą i zimną krwią starali się pomóc jej dziecku oraz jej samej. Tylko że ja akurat nie zaliczałem się do nich.

- Może mi jednak powiesz, co się stało? - spytałem ściskając w rękach słuchawkę.

- Jakaś fabryczna wada stymulatora - odrzekła Elie jednym tchem - wykryli arytmie i Zend inplantował Albertowi nowe serce.

Wciąż ściskając słuchawkę sięgnąłem wolną ręką do pokojowej końcówki komputera i połączyłem się z informacją.

- Za dwie godziny mam samolot do Hounslow - powiedziałem. - Tam przesiądę się na pociąg i o dwudziestej drugiej będę w Decksance.

II. Nazajutrz po moim powrocie

Nazajutrz po moim powrocie do domu - było to przed czterema miesiącami - zatelefonował do nas doktor Zend i doniósł, że stan Alberta nie budzi najmniejszych obaw i że po południu możemy przyjechać do szpitala, by złożyć synowi krótką wizytę.

- Będzie leżał pod kloszem - uprzedził nas. - Na wszelki wypadek przetrzymamy go trochę w immunodepresorze, chociaż to zbyteczne.

Z ekranu wideofonu Zend uśmiechał się do mnie promiennie.

- Przeczytałem twój reportaż - powiedział nagle. - Podoba mi się, ale jakby mnie zasmucił. Bo uprzytomnił mi, że mam sklerozę. Daję słowo, nie mogę sobie przypomnieć, żebym oglądał twoje pęknięte żebra i uszkodzoną torebkę stawową prawego łokcia. No cóż, starzeję się - dodał. - Do zobaczenia. I przerwał połączenie.

- O czym on mówił? - spytała Elie.

- Nie mam pojęcia - odrzekłem zgodnie z prawdą.

- Pęknięte żebra? Torebka stawowa? Wzruszyłem ramionami.

- Coś mu się pomyliło. On chyba naprawdę ma sklerozę. Zend jednak niczego nie pomylił. Przekonałem się o tym zaraz po śniadaniu, gdy poszedłem do swego gabinetu, aby pomedytować o perspektywach dalszego dialogu między przedstawicielami Rady Bezpieczeństwa ONZ a przedstawicielami Aliansu Południowoafrykańskiego, i gdy odbyłem drugą tego przedpołudnia wideofoniczną rozmowę, tym razem już nie z doktorem Zendem. Zamierzałem skontaktować się ze znajomym dziennikarzem, afrykanistą i politologiem, byłym korespondentem wojennym, lecz nim znalazłem w spisie jego numer, nieoczekiwanie zaterkotał wideofon. Machinalnie wdusiłem klawisz wyłącznika i ekran aparatu ozdobiła twarz młodej z wyglądu kobiety, która powiedziała z werwą:

- Dzień dobry. Czy to mieszkanie pana Seymoura Lutza?

- Dzień dobry - odrzekłem. - Tak, to moje mieszkanie. Zawahała się krótko.

- Pan Lutz? - spytała. - Seymour Lutz?

- Tak.

Tę twarz na ekranie, twarz bezsprzecznie piękną, okraślił drwiąco-zalotny uśmiech.

- Dzwonię do pana, bo chcę wreszcie zobaczyć faceta, z którym niedawno jadłam kolację w „Elaborate”. Przyjrzałem się tej kobiecie. Nie kojarzyła mi się z nikim i z niczym.

- Pani ze mną? Kolację?

W jej uśmiechu pozostała już tylko drwina.

- Mhm - potwierdziła. - Podano nam wtedy „briquose”, chociaż ja tego nie pamiętam. Ale pan powinien.

- Nie rozumiem - odparłem. Rzeczywiście nie rozumiałem.

- Cóż to - moja rozmówczyni podniosła głos - pan mnie nie poznaje? Jestem Natalia Anzengruber. Odchrząknąłem z zakłopotaniem.

- Pani wybaczy, ale to nazwisko nic mi nie mówi. Uśmiech zgasł na tej pięknej twarzy.

- Doprawdy? - spytała pani Anzengruber. Zabrzmiało to jak okrzyk: „Coś takiego!” - Nic panu nie mówi moje nazwisko. Ale to panu nie przeszkodziło posłużyć się moim nazwiskiem w tym... w tym, pożałuj Boże reportażu. Zrobiłem w myślach pobieżny rachunek dziennikarskiego sumienia, przetrząsając swój dotychczasowy, skądinąd skromny dorobek twórczy. Nazwisko Anzengruber było dla mnie nadal pustym dźwiękiem.

- Pani z pewnością pomyliła mnie z kimś innym - stwierdziłem ostrożnie. - To na pewno jakaś pomyłka.

- Pomyłka! Co za bezczelność! Z jej dużych, lśniących oczu sypnęły się skry. Niegdyś sądziłem, że „skry sypiące się z oczu” to wdzięczna forma zwrotu literackiego, który oznacza kobiecą pasję lub furję. Od tamtego dnia zmieniłem zdanie.

- Czy panu się wydaje, że ja jestem idiotką! - kontynuowała ta kobieta. - Że można ze mnie... że ja... - na moment ją zatkało. - No, cholera! W każdym razie diabelnie się pan myli, mój panie. Dam

panu cenną radę: niech pan czym prędzej wynajmie dobrego adwokata.

- Pani mnie oskarża... Wpadła mi w słowo.

- Oskarżam pana o zniesławienie i przysięgam, że nie puszcę tego płazem. Za kogo pan się uważa? Więc ja przyleciałam do Decksance na pierwsze skinienie wielkiego Seymoura Lutza, tak? Przyleciałam ledwie nie gubiąc po drodze butów, żeby zjeść z nim kolację i z uwielbieniem patrzeć w jego oblicze! Zrobił pan ze mnie stare, stuknięte, rozegzaltowane i zdzięcinniełe babsko, mimo że nie widział mnie pan na oczy.

Nie bardzo nadażalem za tokiem jej wypowiedzi, toteż kiedy przerwała, wtrąciłem nieśmiało:

- Jeżeli mam być oskarżony, to prawdopodobnie na podstawie jakichś dowodów?

- Proszę! - Na chwilę ekran aparatu wypełniła strona tytułowa opasłego czasopisma, którym pani Anzengruber potrząsała energicznie. - Ta szmata wychodzi chyba w stu tysiącach egzemplarzy? Czy wystarczy panu sto tysięcy dowodów?

Był to „Scientific News”, mój - że tak powiem - macierzysty tygodnik, jeden z tych jego numerów, które się ukazały, gdy przebywałem w Pretorii. Siłą faktu nie znałem jego zawartości, co wzbudziło we mnie niejasne podejrzenia. Jest w naszej redakcji reporter, Arthur Portman, człowiek o dość osobliwym poczuciu humoru. Swymi - co tu ukrywać - kontrowersyjnymi kawałami niejednokrotnie napytał kolegom biedy i sam ściągnął na siebie mnóstwo nieprzyjemności, wszelako nie powstrzymywało go to od dalszego robienia różnorodnych szpasów. Nieomal zobaczyłem figlarną minę Arthura Portmana słuchając pani, Anzengruber, która ciągnęła krzykliwie i odrobinę bezładnie:

- Co pan może wiedzieć o mnie i o Douglasie? Ten pański informator też mi zapłaci. I kto pana upoważnił do grzebania w mojej przeszłości? Jest pan małym oszustem, dziennikarskim wypędkiem, nędznym gryzipiórkim, który oczernia ludzi i czuje się bezkarny. Ale wszystko ma swoje granice, mój panie! Jeżeli ceni pan sobie karierę zawodową, to żal mi pana. I niech pan zapamięta: wcale nie mam zwyczaju, jak to pan napisał, marszczyć noska i mizdrzyć się do mężczyzn!

Ja zaś nie miałem ochoty słuchać dalej tych inwektyw. Uderzeniem palca w klawisz aparatu usunąłem z ekranu roztrajkotaną panią Anzengruber, po czym przeniosłem ze stolika na biurko stos czasopism, które Elie odkładała dla mnie podczas mojego pobytu w Pretorii, i odszukałem numery „Scientific News”. W ostatnim numerze redakcja opublikowała reportaż pod tytułem „Admirał Douglas Westrex” podpisany - zdumiewające - moim nazwiskiem. To nie była pomyłka korekty; treść tego reportażu świadczyła, że ktoś umyślnie, z wyrachowaniem dopuścił się mistyfikacji. I na pewno nie była to robota Arthura Portmana: on zna granice.

W trakcie lektury „Admirała” stał się dla mnie oczywisty sens dygresji doktora Zenda. Uznałem też za uzasadnioną irytację pani Anzengruber i przyjąłem, że wypada spodziewać się następnych tego rodzaju protestów. Oburzony sięgnąłem do wideofonu, aby zadzwonić do redakcji i poprzestawiać tam wszystkich łącznie z naczelnym (choćby za cenę mojej współpracy ze „Scientific News”), tymczasem jednak aparat znów zaterkotał.

Po przeczytaniu reportażu „Admirał Douglas Westrex” można by wysnuć wniosek, że Roya Salaza, byłego oficera Royal Cosmos Force, znałem przynajmniej z widzenia. W istocie ledwie o nim słyszałem, mimo to, kiedy na ekranie wideofonu zobaczyłem czarną czuprynę i brązowe, skośne oczy, domyśliłem się, że to on.

- Pan Seymour Lutz? - zapytał.

- Pan Roy Salaz? - odpowiedziałem pytaniem. Kiwnął głową i jego włosy załśniły granatowo.

- Tak. Przepraszam, że pana niepokoję, ale właśnie zapoznałem się z pańskim reportażem...

- Rozumiem - wtrąciłem. - Tylko że to nie ja napisałem ten reportaż.

Roy Salaz zacisnął pełne wargi. Anonimowy autor „Admirała” musiał znać ten jego zwyczaj.

- Nie pan? W redakcji „Scientific News” nie zaprzeczyli jednak...

- Możliwe; nie wiem, co się u nich dzieje, bo przeszło miesiąc byłem poza krajem. Jedno nie ulega wątpliwości: ktoś ordynarnie posłużył się moim nazwiskiem. Wolę pana o tym uprzedzić, zanim wystąpi pan z pretensjami. Zasepił się. Zresztą od początku tej rozmowy wyglądał na stroskanego.

- Pretensje? - powtórzył. - Nie, nie. Nie miałem tego zamiaru. Chociaż nie lubię, jak mi się przypisuje cudze sądy.

- Jesteśmy więc w analogicznej sytuacji. Zaręczam panu, że niezwłocznie będę interweniować i że redakcja zamieści stosowne sprostowanie.

Ponownie zacisnął wargi rozważając coś w myślach. Wyraz troski nie zniknął z jego twarzy. A może był to wyraz zadumy.

- Sprostowanie, tak, tak - rzekł z roztargnieniem. - Pan, naturalnie, zna treść tego reportażu?

- Przed chwilą skończyłem go czytać - odparłem. Przerzuciłem kartki otwartego numeru „Scientific News” i odnalazłem rozdział traktujący o rzekomo mojej pogawędce z Royem Salazem. - Uczciwie mówiąc przeczytałem go pobieżnie. Nie mogłem skupić się nad nim, to wszystko zbyt mnie wzburzyło.

- Pan kogoś podejrzewa?

- Nie, ale mam nadzieję, że redakcja udzieli mi wyjaśnień.

- A jeżeli nie udzieli ich panu?

Rozdrażniony zabębniłem palcami po blacie biurka.

- Pańska dawna znajoma - powiedziałem - pani Natalia Anzengruber, o której także jest mowa w tym reportażu, zagroziła przed godziną, że wytoczy mi proces o zniesławienie. Jeżeli więc redakcja nie udzieli wyjaśnień mnie, będzie musiała udzielić ich sądowi.

Roy Salaz zmrużył swoje skośne oczy.

- Albo wypłaci Natalii odszkodowanie i całą sprawę zatuszuje.

- Niech pan nie zapomina, że ja jestem jednak najbardziej poszkodowany i że to głównie mnie należy się rekompensata.

Nieznacznie wykrzywił usta.

- Z panem prawdopodobnie nie będą się liczyć. Te jego słowa i lekceważąca mina dotknęły mnie do żywego. I między innymi one nadały kierunek mojemu działaniu - jak to trzy miesiące później w podziemiach gmachu RCF uświadomił mi Milady. Tymczasem zamilkłem urażony, Roy Salaz zaś stwierdził obojętnie:

- Zatem pan nie zna autora reportażu.

- Natomiast on zna pana dobrze - odrzekłem - jeżeli uwzględnić to, co o panu napisał. Roy Salaz potrząsnął głową.

- Nie, nie - powiedział ze znużeniem. - To mógł napisać każdy. Każdy, kto się otarł o Admiralicję erceefu. Tych kilka faktów nie stanowi żadnej tajemnicy. Tragedia tamtego doku kosmicznego była powszechnie znana. Mój wyjazd do Afryki odbył się w ramach oficjalnej rotacji obserwatorów wojennych. Stenogramy moich zeznań w toku procesu archiwizacji z Prokuratury Royal Cosmos Force udostępnił byle pętałowi. A historia mojego małżeństwa z Barbarą... pan wybacz, ale gdybym już

zechciał ją komuś opowiedzieć, nie opowiedziałbym jej w tak ckliwy sposób. Generalnie biorąc, wszystko, co mnie dotyczy, jest w tym reportażu przeinaczone i podszyte fałszem. - Przeciągnął dłonią po twarzy. - Zastanawiam się nad czymś innym. Jaki cel przyświecał temu en-en-en?

Ja jeszcze nie zdążyłem zastanowić się nad tym. Czytając „Admirała” skonstatowałem tylko, że napisano go naśladowując mój styl dosyć udatnie - co zirytowało mnie do reszty, a jedyne pytania, które sobie zadawałem, miały charakter prywatny: kto i dlaczego podszył się pod moje nazwisko i czym wytłumaczyć postępowanie redakcji „Scientific News”? W pierwszym odruchu oburzenia - i jest to chyba normalne - nie zwracałem uwagi na stronę merytoryczną utworu, na wydźwięk „Admirała Douglasa Westrexa” i na intencje jego autora.

- On we wstępie zapowiada - podjął Roy Salaz - że jego reportaż jest próbą „wyjaśnienia zagadkowego marazmu, w który swego czasu na szereg lat popadła Admiralicja, a z nią Siły”. To dziennikarskie faryzeuszostwo. Bo mamy tu do czynienia z peanem na cześć byłego szefa erceefu. Dziennikarz niby gani Westrexa, jest mu niechętny, staje w opozycji do niego. Żeby zaś uprawdopodobnić tę swoją przybraną w literacką formę opinię, wyraża ją w subtelny, zawoalowany sposób. Ten przewrotny zabieg pozwala mu wykazać, że jest więcej niż bezstronny, że jest wręcz nastawiony krytycznie, pozwala mu się odciąć od wygłaszanych przez jego rozmówców opinii, z których już bez cienia żenady wznosi cokół pod pomnik Douglasa Westrexa: herosa, samotnego kowboja, jedyne sprawiedliwego.

Przebiegłem myślą treść reportażu i nie mogłem się z Royem Salazem nie zgodzić. Miłą niespodzianką sprawiła mi jego przenikliwość tak nietypowa dla niektórych oficerów Royal Cosmos Force.

- Owszem - powiedziałem. - Ja też mam wrażenie, że jest to epitafium. Roy Salaz poruszył się na ekranie.

- W każdym bądź razie - podsumował - rzecz została napisana na zamówienie. Przez kogoś mało miarodajnego albo tendencyjnie zniekształcającego ówczesną rzeczywistość. Bo ukazane w reportażu wpływy rewolucji informatycznej na redukcję Sił są przesadnie wyolbrzymione. Wdaliśmy się w dyskusję o rzetelności dziennikarzy. Pominę ją tutaj, albowiem była to dyskusja akademicka. Trochę zmęczony czczym strzepieniem języka pożegnałem Roya Salaza i zadzwoniłem do „Scientific News”. Zgłosiła się Lotta Burner, kierowniczka sekretariatu redaktora naczelnego, kobieta rzeczowa, dokładna i urodziwa, lecz chłodna w obejściu i nieprzystępna.

- Nie ma go - poinformowała mnie z zawodową Uprzejmością, gdy zapytałem ją o szefa. - Będzie po południu.

Chwilę wahałem się przed następnym pytaniem, a ona czekała spokojnie, gotowa natychmiast przyjść mi z pomocą, gdybym takiej potrzebował.

- Proszę mi powiedzieć, kto dostarczył do redakcji maszynopis „Admirała Douglasa Westrexa”?

- Pan, panie Lutz.

- Ja?

- Tak przypuszczam - odparła bez zająknięcia, choć moje niedowierzanie powinno wydać się jej co najmniej dziwne. - Jest pan autorem tego reportażu, czyż nie?

- Ma pani go pod ręką? To znaczy ten maszynopis. Chciałbym wiedzieć, czy figuruje na nim moje nazwisko.

- Sekundę. Chyba jeszcze nie przesłano tej teczki do archiwum.

Zniknęła, aby zaraz pojawić się znowu. Usiadła pochylona, z przekrzywioną na bok głową.

Usłyszałem szelest przewracanych kartek.

- „Admirał Douglas Westrex”. - Głos panny Bumer załamał się lekko, kiedy odczytywała tytuł. - Tak, jest pańskie nazwisko, ale dopisane ręcznie, długopisem. Poznają pismo naczelnego.

- Jest pani pewna?

- Oczywiście mogę się mylić. Ale charakter pisma swojego szefa znam dość dobrze.

Westchnąłem głośno, tak głośno, że prawie teatralnie.

- Więc on będzie po południu?

- Między dwunastą a trzynastą ma wolną godzinę. Czy mam mu coś przekazać, gdyby wrócił wcześniej?

- Tylko ukłony i to, że nie ja jestem autorem tego reportażu. Stawię się o dwunastej.

III. W redakcji

W redakcji byłem punktualnie. Przed wyjściem z domu zostawiłem na stole w salonie karteczkę dla żony z informacją, dokąd jadę. Elie położyła się wnet po śniadaniu, by odespać noc, którą spędziła z torebką orzeszków ziemnych na kolanach, w fotelu przed telewizorem, ponieważ nie mogła zasnąć, a zasnąć nie mogła dlatego, że poprzedniego dnia, kiedy leciałem samolotem z Pretorii do kraju, ucięła sobie ośmiogodzinną drzemkę odsypiając wcześniej zarwaną noc, pierwszą po tym wypadku z Albertem.

Panna Lotta Burner zaanonsowała mnie i za pomocą przycisku na konsolce otworzyła przede mną rozsuwane drzwi do gabinetu redaktora naczelnego. Terence stał tyłem do mnie, przy biurku, nad teczką zawierającą maszynopisy utworów zamieszczonych w ostatnim numerze „Scientific News”, sprawcą tych nieporozumień.

- Proszę, proszę - mruknął zachęcająco i z plikiem papierów w rękach obszedł biurko, aby zapaść w swój obrotowy fotel. - Siadaj.

Usiadłem. Terence nadal trzymając przed sobą wyłowiony z teczki maszynopis popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

- Dziękuję, żeś nas o tym zawiadomił - powiedział. - Szkoda tylko, że nie przed tygodniem; wtedy zdążylibyśmy wprowadzić korektę.

- Przebywałem poza krajem - usprawiedliwiłem się. - W Decksance jestem dopiero od dwóch dni.

- Ach, prawda. Byłeś w Pretorii?

- Ano byłem, i..

- Nie pytam, jak ci się powiodło, bo mamy tam Glema.

Załatwiliśmy mu kartę akredytacyjną, a on z wdzięczności, zamiast korespondencji, dzień w dzień przesyła nam dalekopisem niecenzuralne życzenia. Ale ktoś musi tam siedzieć. Jedyne, co redakcja może dla ciebie zrobić, Seymour, to wypłacić ci diety.

- Nie - zaprotestowałem - dziękuję ci, to był mój prywatny wypad. Poniosłem ryzyko zawodowe i koszty własne, zresztą nie tak wielkie. Nie ma o czym mówić. Pomówmy lepiej o „Admirale”.

- No właśnie - przez biurko podał mi maszynopis. - Przejrzyj to.

Maszynopis jak maszynopis, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Wzorem powszechnie obowiązujących norm miał stosowny margines oraz interlinie. Tytuł jednak napisany został dużymi literami i spacją, a więc w sposób rzadko praktykowany przez innych autorów, przeze mnie zaś każdorazowo - czy była po temu potrzeba, czy nie. Miałem po prostu taką manierę, której z przekory nie chciałem zaniechać i którą musiał podpatrzeć autor owego apokryfu. Nad tytułem widniało moje

nazwisko wykaligrafowane długopisem przez Terence'a.

Złożyłem kartki; plasnęły cicho, kiedy rzuciłem je na blat biurka.

- Już na czwartej stronie - powiedział Terence rozparty w fotelu - narrator mówi o sobie: „melduje się Seymour Lutz, admirał”, czy coś w tym rodzaju. Wprawdzie na karcie tytułowej nazwiska twojego nie było, ale takie przeoczenia już ci się zdarzały, nie miałem więc wątpliwości.

Nic takiego nigdy mi się nie zdarzyło, niemniej zmilczałem.

- Lotta utrzymuje - powiedział Terence - że ten reportaż znalazła w sekretariacie, w stosie materiałów, które codziennie przynoszą nasi pracownicy. Mógł go podrzucić każdy; nawet ktoś spoza redakcji. Przeczytałem go na drugi dzień i podpisałem do druku bez zastrzeżeń.

- I bez porozumienia z kolegium? - spytałem domyślnie. Od dnia, kiedy wręczyłem naczelnemu maszynopis „Przybysza”, moje teksty szły na linotypy z pominięciem tego szacownego zespołu opiniującego. Terence wyprostował się i położył ręce na biurku.

- Może to był błąd. - Uruchomił interkom i rzekł do mikrofonu: - Lotta, zwołaj natychmiast kierowników wszystkich działów. - Zwrócił się do mnie: - Jeżeli masz ochotę posiedzieć tu z nami, będziemy radzi.

- Wolę posiedzieć u siebie.

- Dam ci znać, jak się czegoś dowiem. Do swojego pokoiku, który dzielę z Byrdem, udałem się zaopatrzyć w dzbanek herbaty z ekspresu. Byrd jest pełnym entuzjazmu adeptem dziennikarstwa i nieustannie ugania się w terenie za wszelką sensacją, toteż mogłem w ciszy usiąść nad egzemplarzem „Scientific News” i jeszcze raz przejrzeć „Admirała Douglasa Westrexa”. Siorbiąc gorącą herbatę wynotowałem w brulionie tytuły poszczególnych rozdziałów reportażu. Tak powstała lista złożona z siedmiu nazwisk.

1. Franklin Milady.
2. Douglas Westrex
3. Lee Harris
4. Josephine Westrex
5. RoySalaz
6. Natalia Anzengruber
7. Iks

Były to osoby, z którymi NNN, autor „Admirała”, rzekomo miał rozmawiać i które mogły wiedzieć coś na jego temat. Przeczytałem tę listę z góry do dołu i z dołu do góry i po namyśle skreśliłem z niej Natalię Anzengruber, Roya Salaza oraz Douglasa Westrexa. Przy Iksie postawiłem znak zapytania, po czym skreśliłem go także, uznałem bowiem, że postać tę autor powołał do istnienia po to, by stała się wyrazicielką jego własnych poglądów, słowem, że za tym pseudonimem kryje się sam NNN. Na liście pozostały więc tylko trzy osoby: Franklin Milady, Lee Harris i Josephine Westrex. Dwóch ostatnich nie znałem i nie miałem pojęcia, czego po nich oczekiwać. Przepisałem te nazwiska na czysto, wyrwałem kartkę z brulionu i wetknąłem ją do kieszeni. Gdy przed trzynastą zszedłem do sekretariatu, minąłem się z kierownikami działów opuszczającymi gabinet Terence'a, który człapał za nimi bezradny. Byłem przygotowany na fiasko, więc pogodnie przyjąłem do wiadomości, że kolegium redakcyjne nie ustaliło nic, poza faktami już znanymi.

- W najbliższym numerze zamieścimy sprostowanie - przyrzekł naczelny patrząc na sekretarkę, która łączyła się z jego kierowcą, aby mu polecić, żeby podjechać pod budynek redakcji. - Skonsultuję się też z naszym radcą.

- Krótkie sprostowanie całkowicie mnie usatysfakcjonuje. Przeniósł wzrok na moją twarz i w jego oczach dostrzegłem błysk zawodu.

- Naprawdę? - spytał. Odniosłem wrażenie, że zaraz pożałował tego pytania.

- Nie chcę po prostu, żeby szargano moje nazwisko.

- Tak, oczywiście.

Sekretarka powiedziała, że kierowca już czeka, i Terence kładąc mi rękę na ramieniu wolno wyszedł ze mną na korytarz.

- Oczywiście - powtórzył, gdyśmy się zatrzymali przed szeregiem drzwi do wind szybkobieżnych.

- Ale swoją drogą przydałoby się odszukać autora tego reportażu. Redakcja jest gotowa pokryć wszystkie koszty z tym związane i zakupić zgromadzone materiały, choćby nie miały żadnej wartości reportażowej. Co ty na to, Seymour?

- Filantropijna propozycja - odrzekłem wykrętnie.

- Zastanów się nad nią.

IV. Po lunchu

Po lunchu, który zjadłem w barze „Enticer”, usiadłem za kierownicą swego wozu i spróbowałem przez radiotelewifon połączyć się z domem, żeby obudzić żonę i przypomnieć jej o zaplanowanej przez nas wizycie w szpitalu. Telefon nie odpowiadał. Wyłączyłem się i sięgnąłem do kieszeni po kluczyki. Razem z nimi wydostałem złożoną we czworo kartkę, na której w redakcji zapisałem nazwiska trzech osób:

Franklina Milady’ego, Lee Harrisa i Josephine Westrex. Chorych w szpitalach można odwiedzać w godzinach między 15 a 17, była dopiero 13⁴⁰, przeto nie musiałem się śpieszyć, nawet jeżeli Elie pojechała już do Alberta i krążąc po poczekalni złorzeczyła to portierom, że nie chcą jej wpuścić na oddział, to mnie, że tak jak ona nie zjawilem się tam przed czasem, aby złorzeczyć portierom wespół z nią. Małą godzinkę mogłem poświęcić na swe zawodowe sprawy. Postanowiłem skontaktować się z osobami wciągniętymi na moją listę, zwłaszcza z dwiema: z komandorem Lee Harrisem i panią Josephine Westrex. Po rozmowie z nimi nie obiecywałem sobie wiele, ale należało uprzedzić ich ewentualne protesty. Liczyłem również, że któraś z nich wie coś o prawdziwym autorze „Admirała” i że udzieli mi jakiejś wskazówki.

Pierwszeństwo dałem damie, matce szefa Admiralicji Royal Cosmos Force - i już na początku spotkało mnie rozczarowanie. Kiedy po wykonaniu czterech zamiejscowych - telefonów trafiłem wreszcie na kompetentnego informatora, dowiedziałem się, że pani Josephine Westrex zmarła w miesiąc po samobójczej śmierci jej syna.

Drugi na mojej liście był Lee Harris. Jeśli wierzyć autorowi reportażu, człowiek ten wchodził w skład sztabu RCF. Wybrałem ponownie numer kierunkowy do stolicy, a następnie - numer centrali Admiralicji. Telefon odebrał młody mężczyzna w koszuli rozchełstanej na piersiach pokrytych rzadkim zarostem, stanowiącym zapewne przedmiot jego chluby. Przedstawiłem się pełnym stopniem wojskowym i tytułem zawodowym, na co młodzian wyszczerzył zęby zlepione gumą do żucia.

- O kurczę! - zawołał radośnie. - Mam dzisiaj szczęście! Wygrałem właśnie zakład o pięć dych, rano zostałem ojcem, a teraz widzę pana. Akurat dyskutujemy nad „Admirałem Douglasem Westrexem”.

- Gratuluję sukcesów - powiedziałem pośpiesznie. - Ufam, że nieco pańskiego szczęścia skapnie i na mnie, panie... panie...

- Martin York, nazywam się Martin York i jestem przewodniczącym Komisji Likwidacyjnej.

Fatalna sprawa z tym erceefem, co? Przykro mi, że to mnie i moim chłopcom przypadł w udziale ten wątpliwy zaszczyt przeprowadzenia postępowania likwidacyjnego w pańskich Siłach. Fatalna sprawa... Proszę o wyrozumiałość. Z uśmiechem człowieka życzliwie nastawionego do całego świata Martin York ostentacyjnie i dumnie podrapał się po klatce piersiowej. Niezbyt grzecznie zakłóciłem mu ten stan samozadowolenia.!

- Chcę pana prosić o przysługę.

- Świetnie - młodzian nieomal zatarł ręce. - Schlebia mi, że będę mógł coś dla pana zrobić. Ale wolałbym, żeby to nie przekraczało moich uprawnień.

- Na pewno nie przekroczy. Chodzi o drobnostkę: o aktualny adres komandora Lee Harrisa. Zdaje się, że w okresie redukcji Sił komandor Harris pełnił funkcję oficera sztabowego w Admiralicji.

- Rzeczywiście drobnostka. Adresy oficerów erceefu nie są obecnie objęte tajemnicą - powiedział to tak, jakby zawczasu usprawiedliwiał się ze swej niedyskrecji. - Mówi pan: Lee Harris?

Przeliterowałem to nazwisko. Potem gapiąc się w pusty ekran słuchałem, jak poza zasięgiem kamery w wideofonie Martin York trzaska klawiszami przystawki komputera personalnego, jak szumi urządzenie drukujące, jak znów trzaskają klawisze i odpowiada im drukarnia, i jak po raz trzeci powtarza się ten dialog aparatury. Trochę potrwało, zanim młodzian wrócił do wideofonu, z płachtą równo uciętego papieru i z chmurnym czołem.

- To ten z tego reportażu, prawda? - spytał.

- Zgadza się.

Martin York pokręcił głową nad zadrukowanym papierem.

- Dziwne. Żaden Lee Harris nigdy nie pracował w erceefie. Nigdy. Nie pracował tutaj także żaden Lee ani żaden Harris. Sprawdziłem. Skąd pan go wytrzasnął?

- Tylko to chciałem wiedzieć - odrzekłem. - Dziękuję i do zobaczenia.

Kolejna karta pana NNN okazała się fałszywa. Była w tym jakaś perfidna konsekwencja. Cztery spośród siedmiu pierwszoplanowych postaci reportażu nie żyły albo nigdy nie istniały, dwojga innych, a ściślej - możliwości odegrania przez nie roli demaskatorów, niepodobna było brać na serio. Nazwiskiem Roya Salaza i Natalii Anzengruber NNN posłużył się dla uwiarygodnienia swojej relacji, lecz powiązania tych osób ze zdarzeniami towarzyszącymi redukcji Sił i z tytułowym bohaterem „Admirała” zbyt były wątle i przede wszystkim w zbyt odległej zagrzebane przeszłości, aby sprzyjały ujawnieniu autora reportażu i przeniknięciu jego intencji.

Josephine Westrex, tak jak jej syn, spoczywała w Domu Żałoby; prochy tych dwojga również nie mogły niczego potwierdzić ani niczemu zaprzeczyć. A Lee Harris oraz Iks byli twórcami fikcji i co mieli do powiedzenia, już powiedzieli piórem swego kreatora. Na mojej liście pozostał jedynie Milady.

Do szpitala przyjechałem za kwadrans piętnasta. W zaludnionej poczekalni obok trafik-automatów Elie stała naprzeciwko drobnego mężczyzny, który z rękoma wbitymi w wypchane kieszenie kitla monologował szybko, wykrzywiając wąską, bladą twarz. Podszedłem do nich i kiedy otoczyłem ramieniem żonę, mężczyzna urwał w pół zdania, ale zdążyłem jeszcze pochwycić:

- ...i proszę to przekazać mężowi, boja... Napotkałem przenikliwe, twarde spojrzenie szarych oczu.

- Może mi pan to przekazać osobiście - powiedziałem. - Jestem mężem tej pani.

Elie obróciła się do mnie przodem. Była zbита z tropu i chyba przestraszona.

- O, Seymour - zawołała. - Dobrze, że jesteś. Ten pan to doktor Joseph Foster i on twierdzi... Nieśmiałym gestem wskazała mężczyznę, który nadal spoglądając w moim kierunku sprostował lodowato:

- Formann. Nazywam się Joseph Formann.

- Miło mi - oświadczyłem.

- Natomiast ja - mężczyzna wciskał pięści w kieszenie, aż trzeszczały szwy kitla - nie mogę powiedzieć tego o sobie.

Popatrzyłem na Elie nie mniej skonsternowaną ode mnie.

- Wy, dziennikarze - rozpoczął swą kanonadę słowną Joseph Formann - jesteście pyskaczami wyzutymi ze wstydu i z zasad etycznych, brak wam elementarnej uczciwości, nie przebieracie w środkach, stosujecie chwyt poniżej pasa i dla zaspokojenia swoich niskich ambicyjek, z dbałości o własny interes gotowi jesteście fałszować realia, nawet oszkalować, spotwarzyć i pograżyć rodzoną matkę. Jest pan oszczercą i gówniarzem, panie dziennikarzu... Oto co pańska żona miała panu przekazać!

Okręcił się na pięcie, podszedł do oszklonych matówką drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”, otworzył je i pomaszerował korytarzem prowadzącym do sal operacyjnych, zostawiwszy nas osłupiałych w poczekalni.

Później, kiedyśmy po wizycie u Alberta opuszczali z Elie szpital, przypomniałem sobie ten ustęp z reportażu „Admirał Douglas Westrex”, w którym Franklin Milady napomyka o niechlubnym końcu kariery Josepha Formanna. „Dawniej był cenionym neurochirurgiem; oprócz Zenda nikt nie miał tak pewnej ręki jak on. Wałęsa się teraz po barach w Decksance i wypatruje kogoś, kto mu fundnie szklanekę piwka”.

- Pozostał mi jedynie Milady - rzekłem do siebie głośno. - Jedynie Milady.

- Co? - spytała żona z roztargnieniem.

- Pogadamy o tym w domir - odparłem i przekręciłem kluczyk w stacyjce..

V. W trzy tygodnie po tych wydarzeniach

W trzy tygodnie po tych wydarzeniach, kiedy Albert pod opieką zawodowej pielęgniarki zaczął spacerować po ścieżkach naszego ogródka, poleciałem na Marsa. Spędziłem tam w sumie cztery emocjonujące godziny i - jak wtedy mylnie sądziłem - ledwie uszedłem stamtąd z życiem. Do tego czasu, przez wspomniane trzy tygodnie, wokół mnie nie działo się nic godnego odnotowania. Przestano mi grozić i ubliżać, ucichły protesty, „Scientific News” zamieścił na swych łamach obszernie sprostowanie przeproszając wymienione w reportażu osoby, mnie oraz wprowadzonych w błąd czytelników. Właściwie mógłbym na tę historię machnąć ręką, lecz nie pozwalała mi na to - jakby rzecz ujął doktor Joseph Formann - moja „niska ambicyjka” i ciągle miałem w pamięci swoją rozmowę z Royem Salazem który przez wideofon zapytał:

- Pan kogoś podejrzewa?

- Nie, ale mam nadzieję, że redakcja udzieli mi wyjaśnień.

- A jeżeli nie udzieli ich panu?

- Pańska dawna znajoma, pani Natalia Anzengruber, o której także jest mowa w tym reportażu, zagroziła, że wytoczy mi proces o zniesławienie. Jeżeli więc redakcja nie udzieli wyjaśnień mnie, będzie musiała udzielić ich sądowi.

- Albo wypłaci Natalii odszkodowanie i całą sprawę zatuszuje.

- Niech pan nie zapomina, że ja jestem jednak najbardziej poszkodowany i że to głównie mnie

należy się rekompensata.

- Z panem prawdopodobnie nie będą się liczyć”. Na Marsa poleciałem, aby zobaczyć się z Franklinem Milady. Według Urzędu Migracji Ludności kontradmirał - przynajmniej takimi danymi uraczył mnie zainstalowany w Urzędzie komputer - miał od siedmiu miesięcy przebywać w marsjańskiej bazie „Employ 03”, gdzie pełnił nieokreślone bliżej obowiązki doradcy ds. technicznych. Termin jego powrotu był również bliżej nieokreślony, toteż uznałem, że zamiast czekać na zmiłowanie boskie lepiej będzie samemu odbyć tę podróż, i zacząłem się do niej sposobić nie zwlekając, tym bardziej że iście cudownym zbiegiem okoliczności trafiła mi się nie lada gratka w postaci darmowego rejsu na pokładzie nowoczesnego frachtowca. Moje poczynania na Marsie streściłem w artykule „Cień feniksa”. Artykuł ten wydrukowany został przez redakcję „Scientific News” przed dwoma miesiącami, mimo to uważam za celowe opublikowanie go po raz wtóry, tyle że w okrojonej wersji, z pominięciem fikcyjnych powodów mojej pielgrzymki do Milady’ego przytoczonych przeze mnie wtedy na doraźny użytek, by jakoś umotywić swoją eskapadę, a jednocześnie uprościć powiązania przyczynowo-skutkowe, o których mowa powyżej. Niechże mi będzie darowane to drobne fałszerstwo. W porównaniu z odkryciem, jakiego dokonałem na wschód od „Employ 03”, wszystko inne - z takim przekonaniem po rejteradzie z Marsa usiadłem do pracy nad „Cieniem feniksa” - było bez znaczenia. W tamtym okresie ani mi w głowie nie powstało, że może zachodzić jakikolwiek związek między moim odkryciem a reportażem „Admirał Douglas Westrex”. Dopiero dzisiaj, podsumowując doświadczenia zebrane w ciągu ostatnich miesięcy, uświadamiam sobie, że już w momencie, kiedy po przylocie z Pretorii otworzyłem ów pamiętny numer „Scientific News”, znalazłem się przed zastawioną na mnie siecią mistyfikacji i intryg, w którą potem bezwzględnie dałem się wpędzić inteligentnym i dyskretnym naganiaczom. Przytaczam zatem rzeczoną wersję mojego artykułu „Cień feniksa”.

„Nasz statek wylądował pod Purlieu, jednym z tych górniczych osiedli zwanych »kontenerowcami«. Gazoszczelnym rękawem przeszliśmy na pokład pasażerskiego poduszkowca, który walcząc z piaskową nawałnicą po dwudziestu minutach powolnego i narowistego lotu dostarczył nas do punktu przyjęć: tej komory łączącej nieprzyjazną powierzchnię Marsa z wielobocznym kompleksem hermetycznych budowli tworzących osiedle. Przeznaczeni do obsługi przyjezdnych pracownicy z emblematami na piersiach opatrzonymi literą »I« (co może oznaczać zarówno służbę informacyjną jak interwencyjną, jak też wywiadowczą) - sprawni i beznamiętni - zajęli się naszym rozprorowadzeniem i zakwaterowaniem; ja jeden z nowo przybyłych okazałem się gościem kłopotliwym i niesfornym.

- Nie zamierzam zatrzymywać się tutaj - powiedziałem do swojego przewodnika. - Jeszcze dzisiaj chciałbym być w »Employ 03«.

Skupiając wzrok na czubku mojej brody mężczyzna zapytał monotonnym głosem:

- Jest pan uprawniony do prowadzenia pojazdów terenowych w specyficznych warunkach? Pierwszy raz o czymś takim słyszałem.

- Mam tylko samochodowe prawo jazdy - odparłem ”- i uprawnienia pilota statków kosmicznych typu »Starflash«.

- Tym gorzej dla pana. Wewnętrzna komunikacja pasażerska i pozasłużbowa została zawieszona ze względu na warunki atmosferyczne.

- Na jak długo?

- Aż do odwołania.

- Do odwołania - powtórzyłem za nim. - Ależ ja nie mogę czekać! - Faktycznie nie mogłem. Odlot frachtowca, którym przyleciałem, był zaplanowany na pojutrze wieczorem. - Mam zaledwie dwa i pół dnia na załatwienie swoich spraw.

Mój przewodnik nawet nie mrugnął. Chyba z łatwością przyszłoby mu zagrać w filmie rolę androidalnego robota.

- Ośrodek Prognoz Średnioterminowych przewiduje - wyrecytował nieledwie mechanicznie - że pogoda taka utrzyma się przez najbliższych siedemdziesiąt godzin.

- A łączność radiowa?

- Nie mamy łączności z »Employ 03«. Jęknąłem.

- No, to jestem załatwiony. - Opadły mi ręce. - Czy nie można czegoś zrobić?

Coś drgnęło pod tą nieruchomą maską. Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Niech pan porozumie się z kierownictwem naszej filii Korporacji Przewoźników Czarterowych, To prywatne i niezależne stowarzyszenie. Pracują tam ludzie dosyć odważni.

- Wskaże mi pan drogę?

- Proszę za mną.

Wyruszyliśmy zaraz po obiedzie łazikiem przysadzistym, ciężkim i niezgrabnym, który wszakże w rękach Egila Hovlanda, kierownika filii KPC w Purlieu, przeobraził się w pojazd posłuszny, żwawy i zwrotny, dzielnie odpierający ataki szalejącej burzy piaskowej. Jechaliśmy w milczeniu, silnik pracował miarowo, a ceglastoczerwone draperie pyłu smagały przezroczystą kopułę łazika. Egil Hovland prowadził pewnie; ignorował wskazania przyrządów na tablicy rozdzielczej, polegając na własnym zmyśle orientacyjnym. Było to trochę niepokojące dla kogoś, kto tak jak ja bardziej zawierza instrumentom niż sobie, ale wstrzymałem się od uwag. Na Egilu Hovlandzie zrobiłem - mam nadzieję - wrażenie zucha i nie chciałem tego wrażenia popsuć. Egil Hovland, z pochodzenia Norweg, a z usposobienia przeciwieństwo mojego przewodnika, przyjął mnie w swym ciasnym biurze niezwykle serdecznie. Przeniósł z krzesła na i podłogę końcówkę komputera (konsolę pod tę końcówkę: zajmował przeschwarcowany tu jakimś cudem elektroniczny szachista) i poprosił, abym usiadł., - Seymour Lutz? - upewnił się wręczając mi puszkę wzmacniającego napoju. - Ten dziennikarz?

- Pan mnie zna? - spytałem.

- Poniekąd. My tutaj przed lądowaniem każdego statku studiujemy listę pasażerów. Chodzi o rozeznanie popytu na nasze usługi, żeby wiedzieć, kogo i gdzie ewentualnie trzeba będzie zawieźć. Przy pańskim nazwisku znaleźliśmy nazwę bazy »Employ 03«.

Spod jasnej czupryny spadającej mu na czoło Egil Hovland prześwidrował mnie bladoniebieskimi oczami. Twarz miał wąską, wpadnięte policzki i delikatną szczękę. Wypiłem łyk napoju prosto z puszek i powiedziałem:

- To się zgadza. Rzecz jednak w tym, czy jesteście gotowi podjąć się tego ryzyka.

Z przykrością stwierdziłem, że w spojrzeniu Egila Hovlanda pojawiło się politowanie.

- Panie Lutz, taka pogoda to dla nas żywy kapitał. Przy prędkościach wiatru do stu kilometrów na godzinę, kiedy tutejsza komunikacja regularna jakoś tam sobie radzi, my siedzimy beczynnienie, a filia Korporacji ponosi straty.

- No tak - wtrąciłem - ale przecież podczas szczególnie złych warunków atmosferycznych nawet wy zawieszacie działalność na kołku.

- Jeszcze nam się to nie zdarzyło. Prędkość wiatru wynosi teraz sześćdziesiąt pięć metrów na

sekundę. A ja i moja bryka hasaliśmy po wydmach, kiedy wiatr w porywach przekraczał osiemdziesiąt dwa. Rzecz więc raczej w tym, czy to pan jest gotów podjąć takie ryzyko. Poczuję się dotknięty.

- Kilkanaście lat temu - powiedziałem - lecąc jako młody oficer erceefu niepełnosprawnym »Starflashem«, rozwalilem się o skały. Jestem poskładany z mnóstwa zapasowych części i nie przeraża mnie ich wymiana. Roześmiał się.

- Nie powinniśmy tak paskudnie przygadywać sobie nawzajem. - Wyciągnął do mnie rękę. - Zdemobilizowany porucznik Royal Cosmos Force Egil Hovland, a prywatnie Egil. Stawiam ci obiad, Seymour, i nie gniewaj się. Uścisnąłem jego dłoń.

Wyruszyliśmy więc po obiedzie, przyodziani-w ubiory kompensacyjne, tak bowiem zdecydował Egil, mimo że jego masywny wehikuł miał dublowane zabezpieczenia i wyposażony był w dwa niezależne, bezawaryjne układy życiodajne (ciekawostka: jeżeli są one bezawaryjne, to po co dwa?) i mimo że żaden z nas nie zamierzał przed dotarciem do celu wysiadać i zażywać przechadzki pod tym niegościnnym niebem.

Jechaliśmy tylko we dwóch; Wiatr kamiennym żwirem bombardował nasz łązik i zagłuszał muzykę z radia.

Patrzyłem przed siebie i próbowałem się połapać, jakie duchy wskazują Egilowi drogę, bo zza mknących przed nami słupów piasku, zza gnanych wichurą rdzawych chmur nie było niczego widać. Łazik to podrygiwał, to kolebał się na nierównościach, czasem zwalniał pokonując głęboką diunę, parł jednak naprzód raźnie i na połowie mocy swojej turbiny.

Jazda na »Employ 03« miała potrwać siedemdziesiąt minut, ale już po godzinie, gdy przeciwne uderzenie wiatru rozdarło na ułamek sekundy rudą opończę, zobaczyłem dalekie zarysy konturów czegoś, co z pewnością nie było tworem naturalnym i co natychmiast wchłonęła ruchoma ściana pyłu.

- Widziałeś? - zwróciłem się do Egila. - Chyba jesteśmy na miejscu.

Nie odpowiedział. Przyhamował i pochylił się ku szybie. Łazik jechał teraz wolniej, o ile mogłem to ocenić nie mając punktu odniesienia. Dziarsko przedzierał się przez ceglasterczerwone tumany pędzącej kaszy, na spotkanie coraz śmieiej prześwitujących w oddali zabudowań. Nagle targnęło nami, pasy wpiły mi się w brzuch i łązik stanął.

- Co jest? - spytałem Egila, który z napięciem wpatrywał się przed siebie.

- Niech to jasna cholera! - warknął. - O mały włos byśmy się władowali w sam środek strefy.

- W środek czego?

- Już nas tu nie ma! - zawyrokował.

Chwyciłem go za nadgarstek dłoni, którą położył na dźwigni wstecznego biegu.

- Poczekaj. Co to za strefa? Szarpnął ręką, ale nie puściłem go.

- Człowieku! - krzyknął z przestachem. - Nie ma teraz czasu na gadanie. Wiejemy stąd!

Zacisnąłem palce mocniej, aż zbielała mi skóra na kostkach.

- Co to za strefa, Egil? - spytałem łagodnie.

- Tu się nie wolno kręcić - odparł zdenerwowany. - To teren strzeżony. Musimy zawracać.

- Chwileczkę. - Wciąż przytrzymywałem jego dłoń. - Czyj to teren?

- Wojskowy! - wyrzucił z siebie ze złością. - To jest baza wojskowa. Nie bądź idiotą, Seymour.

Puść mnie!

- Baza wojskowa? Na Marsie nie ma baz wojskowych.

- Oczywiście, że nie ma - zakpił. - Oficjalnie nie ma tu żadnej bazy, ale ta jest, a kto się chciał o

tym przekonać na własne oczy, już stamtąd nie wracał.

- O czym ty pleciesz, człowieku? Czasy panowania reżimów i junt wojskowych mamy już poza sobą.

- Co ty możesz wiedzieć. Przyleciałeś tu przed trzema godzinami... Puszczaj!

Puściłem jego rękę, on jednak nie ruszał. Niezdecydowanie gładził dźwignię wstecznego biegu. Pod naciskiem pasów opadłem na oparcie. Radio grało cicho, a piasek szorował po kopule łazika.

- Czyja to baza? - spytałem. Egil wzruszył ramionami.

- O tym się tutaj nie mówi. I lepiej o to nie pytać.

- Mają w niej park maszynowy?

- Tak.

- No?

- »Starflashe«.

Zabrzmiało to nieprawdopodobnie. Maszyny bojowe typu »Starflash« znajdowały się w wyposażeniu wyłącznie Royal Cosmos Force, które prawnie nie istnieją od blisko półrocza. Wprawdzie w Admiralicji i w pomniejszych placówkach Sił urzędują członkowie Komisji Likwidacyjnej, a więc w biurach kołacze się jeszcze życie, lecz pracownie, stocznie, doki, hangary, magazyny, dyspozytornie i wieże kontrolne zioną pustką i straszą opieczętowanymi drzwiami, cały zaś sprzęt wojskowy przekazany został do demobilu, rozbiórki albo kasacji. Tymczasem tutaj najspokojniej w świecie egzystuje jednostka RCF odporna na burze dziejowe, drwiąc z uchwały rządu i co więcej - prowadząc złowrogą, konspiracyjną działalność. Dziwaczna myśl zaczęła mi świtać.

- Kiedy zbudowano tę bazę? - spytałem.

- Tu stale coś się buduje - odrzekł Egil wymijająco.

- Pół roku temu? - nalegałem.

- Może pół roku, może mniej. Zatrzasnąłem szybkę hełmu.

- Sprawdź szczelność skafandra - poleciłem. - Wsiadam. (Egil gwałtownie obrócił się do mnie.

- Chyba oszalałeś! - zawołał. Rozpiąłem karabinki pasów.

- Sprawdź szczelność skafandra.

- Niech cię cholera!

Wiatr grzechotał zwirem po obudowie hełmu i miałem uczucie, że piasek dostaje siekło wewnątrz i zgrzyta mi w zębach. Pełzłem obok nagich słupków nie wykończonego ogrodzenia, którego początek ginął gdzieś w przedzie. Przede mną z prawej strony wznosiła się »górką rozrzadowa«; »Starflashe« ustawione na niej wachlarzowato, w pięciu półkolistych szeregach, wyglądały niczym srebrzyste jastrzębie podrywające się do lotu ze wzdętej padliny olbrzymiego zwierzęcia. Kontenerowe kształty budynków koszarowych i zaplecza technicznego majaczyły jeszcze bardziej na prawo, w odległości trzystu, może trzystu pięćdziesięciu metrów od »górką«, na którą umyśliłem się dostać, aby stamtąd zlustrować okolicę - jeżeli mi w tym nie przeszkodzi ta piaskowa draperia. Cały mój hełm wypełniał głos Egila; biedny Egil pomstował i zaklinał się, że mnie zostawi, że zaraz odjedzie i nawet mojej rodzinie nie powie, gdzie wiatr usypał nade mną kurhan.

- Nie będę za ciebie nadstawiać karku, rozumiesz? - wykrzykiwał.

Dopełzłem na wysokość pierwszego szeregu najniżej stojących »Starflashy«; dźwigając się na łokciach, przyłgnałem brzuchem do podłoża. Zmęczyła mnie ta walka z wydmami, wiatrem i krępującym szerokie ruchy ubiorem kompensacyjnym.

- Uważaj, Egil - powiedziałem. - Teraz skręcam i włączę na teren tej bazy.

Zaklął.

- Wpierw posłuchaj tego. - Zwiększył obroty turbiny łazika i w tle jego głosu rozległo się szemrzące staccato. - Co ty na to?

- Powodzenia - odrzekłem. - Kłaniaj się Milady'emu, jak będziesz w »Employ 03«.

- Niech cię diabli!

Niezbyt odważnie minąłem słupek otoczony u podnóża małym barchanem. Od najbliższego »Starflasha« dzieliło mnie pięćdziesiąt metrów; tam mógłbym chwilę odpocząć oparty plecami o podwozie maszyny, zanim zacznę się wspinać pod górę. Staccato w słuchawkach ucichło, ale nie ucichł oddech Egila, który mimo pogroźek czatował w łaziku ćwierć kilometra z tyłu.

- Seymour.

Nie odzywałem się znużony jego natarczywą troską o moje bezpieczeństwo.

- Seymour, do licha! - wrzasnął. - Zdaje się, że oni już wykryli naszą obecność.

I wtedy słuchawki rozdźwięczały się przeciągłymi trzaskami.

Usiadłem i popatrzyłem dokoła. Ogrodzenie za mną stało w drgających płomieniach.

Był to potomek niegdysiejszych zasieków pod wysokim napięciem: »elektryczny parkan« - jego model znałem jedynie z teorii, ponieważ stosowania tych »parkanów« zaniechano bodaj na początku naszego wieku, po kilku tragicznych wypadkach, którym ulegli zupełnie przypadkowi ludzie. Nagle z pozoru niewinne słupki tętniły energią dostarczaną z generatora o wielkiej mocy; każda próba przekroczenia wyznaczonej przez nie granicy powodowała wyładowanie elektryczne zdolne śmiertelnie porazić człowieka, a w razie potrzeby - unieszkodliwić obcy pojazd. Czujniki rozmieszczone na całej wysokości słupków potrafiły wyśledzić przelatującego między nimi komara i unicestwić go uderzeniem iskry grubej na palec. Miałem szczęście: ze względu na burzę piaskową »elektryczny parkan« tej bazy był odcięty od źródła zasilania, mogłem więc bez szwanku go sforsować. Ale teraz, kiedy mnie zauważono, została włączona jedna z jego partii. Na długości połowy kilometra postrzępione, jaskrawofioletowe wyładowania elektryczne przesywały powietrze od słupka do słupka, wstrzeliwując się w tumany piasku i uniemożliwiając mi odwrót. Obserwowałem to groźne widowisko i poprzez trzaski słyszałem, jak Egil wrzeszczy do mnie:

- Ostrzegałem cię, cholerny idioto! Nie wierzyłem w tę całą ponurą i skrytą działalność szefów owej bazy, lecz trudno mi było uznać rozciągniętą zaporę ogniową za przyjazny gest, za kurtuazyjne zaproszenie w gości. Podczołgałem się do najbliższego »Starflasha« i przytrzymując się jego kadłuba wstałem z ziemi.

- Widzę ich! - wrzeszczał Egil. - Jeden, dwa, trzy... pięć łazików! Jadą do ciebie! Wiej stamtąd! Wiej!

Kadłuby maszyny ograniczały moje pole widzenia. Nie mogłem ocenić sytuacji, upewnić się, czy Egila nie ponosi aby fantazja, i może dlatego przerażenie w jego głosie sprawiło, że wpadłem w popłoch. W trzech susach znalazłem się w kabinie »Starflasha«. Kiedy sprawdzałem jej szczelność, samoczynnie zadziałały urządzenia wentylacyjne. Zdjąłem hełm usiłując przebić wzrokiem rudą zawieszinę, co szturmowała dziobowy iluminator; poczułem, jak kask opada mi na głowę i niemalże pieszczotliwy dotyk jego elektrod. Stałem się nadrzędną, dyspozycyjną częścią tej maszyny.

Bloki napędowe - w normie.

Układy sterownicze - w normie.

Aparatura kontrolna - w normie.

Zespół VIS - ...

Nietypowe impulsy dotarły do mego mózgu - stan zespołu VIS nie odpowiadał normom. Teraz gdy »Starflash« miał mi posłużyć jedynie do ucieczki z tej planety, było to w zasadzie bez znaczenia, wszelako bezpieczeństwo pilota wymaga, by znał on kondycję wszystkich podzespołów swojej maszyny. Zamknąłem oczy. Zespół VIS - ...

Nadeszła znów ta sama seria impulsów, ale już je rozumiałem. Zimny dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Zespół VIS - wyposażenie specjalne. Oznaczało to, że mój »Starflash« zamiast uzbrojenia konwencjonalnego dźwiga w czeluściach swych wyrzutni broń nuklearną i może być użyty do działań zaczepno-niszczących. Siedziałem za sterami maszyny zdolnej zmieść z powierzchni ziemi wielomilionowe miasto i świadomość tego sparaliżowała mnie na moment. »Starflashe« były przeznaczone do odpierania ataków i zwalczania celów powietrznych, orbitalnych i pozaorbitalnych; fakt, że zmieniono ich przeznaczenie, przeznaczenie z gruntu obronne, stanowił złowieszczy ewenement w całej historii Royal Cosmos Force. Wzdrygnąłem się na myśl o wynikających stąd wnioskach: związek taktyczny w sile dwóch eskadr szturmowych, kierowany przez dowództwo lekceważące uchwały Komisji Rządowej, stacjonuje oto tutaj uzbrojony jak do napaści na kraj. Odsunąłem od siebie te myśli. Ponownie skoncentrowałem uwagę na sterach. Bloki napędowe - w normie. Układy sterownicze - w normie. Aparatura kontrolna - w normie. Zespół VIS - wyposażenie specjalne. Blok bezpieczeństwa - w normie. Zapłon!

Bez kołowania ześliznąłem się w dół, ryjąc podwoziem w wydmach głębokie bruzdy, i po przebyciu kilkudziesięciu metrów włączyłem silnik główny zimnego napędu. Wystartowałem tuż przed »parkanem«, pod ostrym kątem, który blok bezpieczeństwa ocenił jako zbyt ryzykowny i zmniejszył go, skutkiem czego maszyna omal nie zawadziła o słupek. Może przesadzam, ale wtedy wydawało mi się, że gra idzie o moją skórę, przeto nie mogłem pozwolić, aby ten blok nadal mnie tyranizował ograniczając mi swobodę manewrowania - i zerwałem jego plomby.

Nikt mnie nie ścigał, a może zgubiłem pościg. Drogę - 80 milionów kilometrów (Mars był wtedy w opozycji) - miałem czystą, jakbym poruszał się zarezerwowanym tunelem.

Nikt mnie też nie nawoływał do powrotu ani nie pytał o mój kurs czy zamiennik - nawet wtedy gdy znalazłem się w zasięgu grawitacyjnego oddziaływania Ziemi, gdy wszedłem na orbitę i wreszcie, gdy krążyłem na wysokości trzech tysięcy metrów i posługując się instrumentami pokładowymi szukałem nieczynnego kosmodromu Emit-Second, aby na nim wylądować.

Podróż z Marsa na Ziemię trwała stosunkowo krótko. Nie oszczędzałem silników, nie oszczędzałem także swojego organizmu, więc zarówno przed wylądowaniem, jak i po, dotkliwie odczuwałem skutki tego lotu z morderczym przyśpieszeniem. Byłem wykończony, toteż nie zastanawiałem się nad tą niecodzienną przecieź, zdumiewającą ciszą w eterze, ba - absolutnym brakiem reakcji jednostek sił obrony powietrznej kraju. Pieszko dowlokłem się do autostrady...”

Blisko tydzień pichciłem powyższy artykuł, który pod tytułem „Cień feniksa” ukazał się dwa miesiące temu na łamach „Scientific News”. Ukazał się w wersji obszerniejszej aniżeli wyżej przytoczona, rozbudowane miał zwłaszcza zakończenie, gdzie oddawałem się naiwnym - jak to dzisiaj widzę - dywagacjom i gdzie omówiłem wspomniany wyżej brak reakcji służb odpowiedzialnych za kontrolę obszaru powietrznego kraju. „A może - napisałem - ta baza na Marsie egzystuje za milczącą zgodą Departamentu Obrony? Może Departament Obrony ukrywa jej istnienie przed Parlamentem i nie respektując uchwały Komisji Rządowej nadal utrzymuje ją z budżetu państwowego? Może stacjonujące w niej eskadry »Starflashy« są jednym z tych związków

taktycznych, o których wiadomo, że trzyma się je w stałej gotowości bojowej? Może nawet pojedyncze maszyny lub wręcz klucze odbywają regularne ćwiczenia nad naszymi głowami i pod naszymi nosami, i dlatego przez nikogo nie niepokoiony mogłem swobodnie wylądować na nieczynnym (czy rzeczywiście?) kosmodromie Emit-Second?” „Cień feniksa” zaniósłem Terence’owi, który przyjął go skwapliwie. Nazajutrz zatelefonował do mnie do domu. - Pójdzie to w następnym numerze - powiedział. - Sztabowcy się wściekną.

Artykuł poszedł bez skrótów, na domiar opatrzonej odredakcyjnym komentarzem balansującym na krawędzi insynuacji pod adresem Departamentu Obrony. A wieczorem tego dnia, kiedy ukazał się on drukiem, żona oznajmiła mi, że mam być aresztowany.

VI. W areszcie śledczym

W areszcie śledczym spędziłem miesiąc, a dokładnie - trzydzieści dni. Nie aresztowano mnie jednak od razu; wprawiłem w mały ambaras pracowników wywiadu wojskowego - właśnie dzięki temu, że o ich zamysłach ostrzegła mnie żona.

- Seymour! - zawołała wpadając do garażu. - Oni tu byli dosłownie przed godziną! Wróciłem wtedy z Emit-Second. Pojechałem na ten kosmodrom, aby sprawdzić, czy skradziony przeze mnie „Starflash” jeszcze tam stoi. Oczywiście wsiąkł bez śladu.

- Kto? - zapytałem.

- Jacyś dwaj - odparła Elie. Była przerażona. - Przyszli po ciebie. Mieli nakaz aresztowania.

- Nakaz aresztowania? - Prawdę mówiąc nie zaskoczyło mnie to specjalnie. - Co za dwaj? Jak oni wyglądali?

- Czy to nie wszystko jedno? Dwa okropne typy i tyle. Czego oni od ciebie chcą?

- To byli cywile? Przedstawili się?

- Cywile. I nie przedstawiali się. Powiedzieli, że jeszcze tu przyjdą dzisiaj, i prosili, żebyś nie ruszał się z domu. - Elie załamała ręce. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy moją żonę załamującą ręce. - I co my teraz zrobimy, Seymour? Po namyśle odrzekłem:

- Ciebie i Alberta to nie dotyczy. Ale ja muszę zniknąć. W gęstniejącym zmierzchu oczy Elie wydawały się niewiarygodnie wielkie.

- Będziesz się ukrywał? To nie ma sensu. Miała rację. W epoce, gdy nakazy aresztowania - skądinąd rzadkie - wysyłane są po prostu pocztą i adresat otrzymawszy taki nakaz spontanicznie bieży czym prędzej za kratki, żeby swoją opieszałością nie wpłynąć na wyższy wymiar ewentualnej kary - w takiej epoce wszelkie uchylanie się od powinności aresztanta jest postępowaniem nierozsądnym, mogącym ściągnąć człowiekowi na kark dodatkowe represje, a przeświadczenie, że gdzieś na tym świecie znaleźć można kryjówkę, to czyste szaleństwo. Nie zamierzałem się ukrywać, jednakże potrzebowałem czasu i swobody, aby gruntownie przeanalizować przeżyte zdarzenia, które choć realne i konsekwentnie następujące jedno po drugim, sprawiały wrażenie nierzeczywistych - jakby rozwijały się według scenariusza. Wieczorem pociągiem ruszyłem do stolicy - bez bagażu, nie żegnając się z Albertem, nie wchodząc nawet do domu; ucałowałem tylko Elie i chyłkiem przemknąłem na dworzec. Nie miałem konkretnych planów, ten pociąg był najbliższym, który odchodził z Decksance, skąd co rychlej chciałem wyjechać w dowolnym kierunku. Dopiero w przedziale przyszło mi na myśl, że skoro już znajdę się w stolicy, nie od rzeczy będzie pokwapić się do Admiralicji Royal Cosmos Force i powtórnie, tym razem osobiście, porozmawiać z tym młodym przewodniczącym Komisji Likwidacyjnej, Martinem Yorkiem. Nie od rzeczy także by było powłóczyć się po odwiedzanych przez rezerwistów i kadrę RCF pubach oraz kasynach, o których

NNN napomknął w swym reportażu „Admirał Douglas Westrex”, i posłuchać najświeższych plotek. Takie posunięcie ktoś przeczny mógłby nazwać dobrowolnym wkładaniem głowy w paszczę lwa, ale zuchwalstwo często popłaca. Korciło mnie, aby pójść na całego i stanąć w hotelu „Pillow” będącym - zdaniem NNN - moją bazą wypadową, kiedy „wyjaśniłem zagadkowy marazm, w który swego czasu na wiele lat popadła Admiralicja, a z nią Siły”. Ostatecznie wybrałem „Erciyas” - hotel prowadzony przez Turka i z personelem ponoć wyłącznie rodem z Turcji, czemu przeczył wygląd recepcjonistki, hożej dziewczyny o jasnej karnacji, pszenicznych włosach i oczach jak dwa bławatki, posługującej się do tego nienaganną literacką angielszczyzną. Rzuciłem wyzwanie tajniakom z wojskowego wywiadu i zameldowałem się prowokacyjnie pod turecko-angielskim nazwiskiem Zeki Osgarii Rahmi Townsville Buscastle, co wprawilo dorodną recepcjonistkę w lekkie, całkiem albiońskie osłupienie.

- Pan jest sam, panie... panie... - spytała - ... czy z rodziną?

Pierwszy dzień pobytu w stolicy zaczął się dla mnie i skończył fatalnie. Pogoda była obrzydliwa, sen miałem męczący, śniadanie podano mi nędzne, a jedyną zaletą samochodu, który wypożyczyłem, było to, że się nie rozpadł, kiedy do niego wsiałem. Niewątpliwie siłom nadprzyrodzonym zawdzięczam, że wehikuł ten jakoś się dotelepał pod gmach Admiralicji. Zaparkowałem go pomiędzy znakami zakazu parkowania umieszczonymi przy obu wylotach ulicy. Widziałem bramę wiodącą na dziedziniec i to, co się za nią dzieje. I tam dwie-trzy minuty później nastąpił smutny finał mojej eskapady. Brama była zamknięta; za jej żelaznymi sztachetami stał lśniący Rolls-Royce, przy nim zaś - wyprężony służbowo kierowca. Ujrzałem wiceadmirała Hope'a krocącego w otoczeniu świty przez dziedziniec, wiceadmirała Hope'a we własnej osobie, i w tejże chwili ktoś otworzył drzwiczki w moim samochodzie. Wielkie chłopisko zważyło się na siedzenie obok mnie, aż amortyzatory skrzypnęły ostrzegawczo.

- Dzień dobry, panie Lutz. Domyśliłem się, że wpadłem.

- Unika nas pan - zauważył tajniak z goryczą. - Tak czy owak mieliśmy pana tu przewieźć, więc w sumie oszczędził nam pan fatygi. Budynek prokuratury jest za rogiem. W ten sposób zostałem aresztowany. Wsadzono mnie do celi urządzonej - jak na warunki więzienne - względnie luksusowo. Miałem telewizor, radio, nie najgorzej zaopatrzoną lodówkę i dość wygodną prycę; we wnęce był węzeł sanitarny i natrysk. Na stoliku przymocowanym do ściany leżał blok korespondencyjny i przybory do pisania, ale uczciwie uprzedzono mnie, że żaden z moich listów nie opuści tego budynku. Nie pozwolono mi na widzenia z rodziną i znajomymi, i - co było już łamaniem prawa - na widzenie z adwokatem. Natomiast codziennie widywałem się z prokuratorem, człowiekiem wiecznie uśmiechniętym, który niezmordowanie zadawał mi pytania, na ogół te same, czasem urozmaicając je nowymi lub zmieniając ich kolejność bądź formę.

- W jakim celu poleciał pan do Pretorii? - pytał ów szpakowaty, kulturalny i sympatyczny mężczyzna.

- W Pretorii, jak wiadomo, odbywa się konferencja rozbrojeniowa - odpowiadałem. - Jako dziennikarz chciałem być w sercu wydarzeń.

- Miał pan akredytację?

- Nie. Byłem tam prywatnie.

- Z kim się pan tam kontaktował?

- Z nikim. Spędzałem czas samotnie.

- Jak długo pan tam był?

- Około czterech tygodni.
- Na lotnisku znaleziono przy panu radiowifon, czy tak?
- To była zabawka, którą można dostać w każdym salonie ze sprzętem elektronicznym.
- Jakiego rodzaju informacje przekazał pan przez ten radiowifon?
- Żadnych. Zabrano mi go zaraz po wylądowaniu samolotu.
- W którym hotelu pan mieszkał?
- W „Eldoro”.
- Numer pokoju?
- Nie pamiętam.
- Kiedy wysłał pan pierwsze materiały do redakcji. „Scientific News?”
- Nie wysyłałem żadnych materiałów z Pretorii.
- Kto panu rozkazał lecieć na Marsa?
- Nikt, już to mówiłem. Poleciałem tam z własnej inicjatywy, żeby zobaczyć się z kontradmirałem Franklinem Miladym.

- Milady’ego nie było wtedy na Marsie.
- Komputer Urzędu Migracji Ludności twierdzi, że był.
- Mamy odpis z pamięci komputera UML-u. Chce pan zapoznać się z treścią tego odpisu, panie Lutz? W czwartym dniu mojego pobytu w celi prasa i radio doniosły o aresztowaniu Terence’a. Nie podawano przyczyn, nie rozpoczęto też - w imię zawodowej solidarności - ofensywy na władze wojskowe; w skąpych komentarzach, zachowując umiar i powściągliwość, dziennikarze delikatnie sugerowali, że ich kolega z „Scientific News” naruszył tajemnicę państwową. W świetle tego oskarżenia indagacje prokuratora nabierały zasadniczej wagi.

- Od jak dawna zna pan Egila Hovlanda?
 - Poznałem go na Marsie, w Purlieu.
 - Skąd pan wiedział o istnieniu bazy „Revenge 118?”
 - Nie słyszałem o takiej bazie.
 - Kto mu polecił zawieźć tam pana?
 - Tam, to znaczy dokąd?
 - Komu przekazał pan mikrofilmy?
 - Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
 - Jakie zagadnienia poruszał pan w depeszach prasowych nadawanych z Pretorii?
 - Nie nadałem stamtąd ani jednej depeszy.
 - Kto pana wysłał na Marsa?
 - Poleciałem tam z własnej, nieprzymuszonej woli.
 - Który z was prowadził łazik, kiedyście jechali rzekomo do „Employ 03”?
 - Egil Hovland.
 - Kierował się według mapy czy wskazań przyrządów?
 - Kierował się znajomością terenu.
 - Podczas burzy pyłowej?
 - I dlatego zbłądziliśmy.
 - Kim jest mężczyzna, z którym widziano pana w barze „Eldoro?”
 - Nie wiem, o kogo panu chodzi. W Pretorii byłem sam i nie szukałem towarzystwa.
- Po mnie i Terence’ie przyszła kolej na Egila Hovlanda.

Ściągnięto go z Marsa i osadzono w areszcie śledczym prokuratury wojskowej - przeczytałem o tym w naszym czołowym dzienniku, szóstego dnia przesłuchań. Notatka była niepozorna i chyba niewielu czytelników zwróciło na nią uwagę. Łamy pisma zdominowane zostały przez kalkulacje na temat skutków kryzysu rządowego, który wystąpił nagle, objawił się prawie z godziny na godzinę, ale za to z całą ostrością. Wyobrażałem sobie nastroje społeczeństwa tam, za tymi murami, te dyskusje, spory, oświadczenia i manifestacje.

Moje życie toczyło się ustalonym, więziennym trybem: po południu czytałem prasę lub oglądałem telewizję, wieczorami pisałem do Departamentu Sprawiedliwości odwołania, skargi, protesty i listy z pogrózkami, które pozostawały bez odpowiedzi, każdego rana zaś, po śniadaniu, widywałem się z prokuratorem - zawsze z tym samym, zawsze uśmiechniętym, zawsze uprzedzająco grzecznym i niestrudzonym w zadawaniu wyrywkowych pytań świadczących o jego bezsilności.

- O czym rozmawiał pan z żoną będąc w Pertorii?

- O synu. Elie zatelefonowała do mnie, bo Albert miał atak serca.

- A wcześniej?

- Wcześniej z żoną nie rozmawiałem.;

- A z kim?

- Z nikim. I po raz setny powtarzam, że radiowifon celnicy zabrali mi zaraz na lotnisku. Zresztą tym aparatem nie można porozumiewać się na tak duże odległości.

- Kto wyznaczył spotkanie w Purlieu: Hovland panu czy pan Hovlandowi?

- Spotkaliśmy się tam przypadkowo.

- Dlaczego polecił mu pan jechać okrężną trasą?

- Nie wydawałem mu takich poleceń. Miał mnie zawieźć prosto do „Employ 03”.

- Ile Terence obiecał panu za artykuł „Cień feniksa?”

- Niczego mi nie obiecywał.

- Czemu razem z pańskim artykułem nie zamieścił szkiców topograficznych?

- Jakich szkiców?

- Tych, które pan mu dostarczył. Tych z lokalizacją „Revenge 118”.

- Nie wiem nic o żadnych szkicach topograficznych. Po trzech tygodniach sprawę kryzysu rządowego wyparł na dalsze strony gazet temat dnia: przedstawiciele Rady Bezpieczeństwa ONZ konferujący w Pretorii z przedstawicielami Aliansu Południowoafrykańskiego osiągnęli nareszcie wstępne porozumienie. Warunków porozumienia nie podano, ale spodziewałem się usłyszeć o nich od prokuratora, który o sytuacji międzynarodowej - jak tego parokrotnie dowiedział - wiedział więcej niż nasi żurnaliści zajmujący się problemami polityki zagranicznej. Toteż w pewnym stopniu doznałem zawodu, kiedy nazajutrz nie wezwano mnie na przesłuchanie. Nie przesłuchiowano mnie także w ciągu następnych dni; przez kolejny tydzień nikt się mną nie interesował oprócz strażnika, mało rozgarniętego, lecz życzliwego człeczyny. Od niego otrzymałem dwie pocieszające wieści: że zwolniono z aresztu Terence'a i że wkrótce pozwolą mi na widzenie z żoną. Trzydziestego dnia mojej odsiadki raptem przypominano sobie o mnie. W towarzystwie profosa pojechałem windą do sali przesłuchań, gdzie znajomy prokurator siedział już nad dossier.

- Zaczynamy od nowa? - spytałem, gdy zostaliśmy sami. - Niech pan mi powie, czy to pana nie nudzi? Podsunął okulary aż na czoło, przytrzymując je palcem wskazującym.

- Piekielnie - odrzekł z uśmiechem. - Jeszcze nigdy nie prowadziłem przesłuchania tak nieudolnie. Ale proszę spocząć.

Usiadłem na wprost niego.

- Jak mam to rozumieć?

Nie raczył mi odpowiedzieć. Otwartą dłonią klepnął gazetę rozłożoną pośrodku biurka, pod plikiem protokołów.

- Mamy nowy rząd. Wie pan o tym?

- To było do przewidzenia.

- Tak. - Działo się z nim coś dziwnego. Zachowywał się niczym sztubak przed panienką, której chce wyznać swoje uczucia. - Wypijemy po jednym? Patrzyłem z niedowierzaniem, jak otwiera barek w regale pod ścianą, jak wyjmuje szklaneczki i ustawia je na tacce.

- Highlands whisky, nic nadzwyczajnego, ale budżet reprezentacyjny prokuratora mojej rangi jest raczej skromny.

Podniósł szklaneczkę i upił z niej łyk.

- Za pomyślny finał tej farsy - powiedział. - Jest pan wolny, panie Lutz.

Omam nie zakrztusiłem się swoją whisky. Prokurator osuszył chusteczką usta i prędko dodał:

- Niech pan nic nie mówi. Obaj doskonale wiemy, że był pan aresztowany i przesłuchiwany bezprawnie. Nie podejmuję się wyjaśnić panu powodów, zrobi to za mnie ktoś inny. Mogę tylko pana zapewnić, że otrzyma pan odszkodowanie. Mało tego... Ale o tym później. Pochylił się nad interkomem.

- Czekamy - rzucił do mikrofonu.

Po chwili szcęknął za mną zamek i do sali wszedł Franklin Milady.

- Zwracam ci naszego aresztanta, Frank - powiedział prokurator.

Oszołomiony spoglądałem to na jednego, to na drugiego.

Kontradmirał Milady przywitał mnie mocnym uściskiem ręki. Był zmęczony i chyba zmieszany.

- Chodźmy, Lutz - rzekł i sapnął. - Odwaliłeś kawał wspaniałej roboty. Ruszyłem za nim do wyjścia.

VII. Podsumowanie

Podsumowanie tej historii nastąpiło w archiwum Admiralicji Royal Cosmos Force, dokąd Milady zawiózł mnie paradnym Rolls-Royce'em. W gmachu roiło się od cywilów i umundurowanych oficerów, zabieganych i zaaferowanych; personel pomocniczy wnosił z dworu zaplombowane skrzynie z dokumentacją, w holu piętrzył się sprzęt biurowy, który dźwigiem towarowym rozwożono po piętrach. Schodami ewakuacyjnymi zesłiśmy obaj do podziemi, na trzecią kondygnację - zaciszną i opustoszałą. Kontradmirał otworzył przede mną drzwi, pierwsze z brzegu mrocznego korytarza.

- Tutaj możemy pogawędzić swobodnie - rzekł. Przepuścił mnie przodem, a potem wolno przemierzył to nieprzytulne, chłodne pomieszczenie i oparł się barkiem o ścianę sejfu z pancernej stali.

- Wolalbym - zastrzegłem sobie - żeby nie trwało to zbyt długo.

- Oczywiście. Wiem, że ci pilno do żony i syna...

- Nie tylko - powiedziałem spokojnie. - Mam też coś do załatwienia w Departamencie Sprawiedliwości. Milady kiwnął swą stożkowatą czaszką.

- Tak, tak. Pozbawianie swobód obywatelskich, ograniczanie wolności słowa i tym podobne trele-morele. Chcesz iść do Departamentu Sprawiedliwości i złożyć słuszną skargę.

- Chcę bronić podstawowych praw człowieka.

- Jeszcze dwa tygodnie temu takie oświadczenie, zwłaszcza prasowe, miałyby dla nas nieliczną

wartość. Między innymi po to, żebyś je złożył, byłeś aresztowany, przesłuchiwany i bezprawnie przetrzymywany w pace. Gdyby zawiodły posunięcia, które poprzedziły twoje aresztowanie, wypuszczono by cię wcześniej i pozwolono ci opublikować każdą, najbardziej napastliwą enuncjację; nadano by wyrządzonej ci krzywdzie szeroki rozgłos. Ale dzisiaj twoje grzmienie byłoby poniewczasie.

- Nie obchodzą mnie wasze machinacje - odparłem i powtórzyłem z uporem: - Chcę bronić podstawowych praw człowieka.

- Ależ nikt tych praw nie łamie. Twoja sprawa była wyjątkowa - Milady zgarbiony przeszedł w drugi róg pomieszczenia. - Zastanawiam się, jak ci to wytłumaczyć. Nikt z nas nie byłby zachwycony, gdyby mu powiedziano, że służył za narzędzie kierującej nim organizacji.

- Czy mógłby pan się streszczać, admirale?

- Frank, zwracaj się do mnie: Frank. Tak będzie prościej, Seymour.

Staliśmy naprzeciwko siebie, po przekątnej tego archiwum.

Franklin Milady trzymał ręce splecione za sobą i przyglądał mi się trochę spode łba i - No więc, co to za organizacja... Frank?

- Reaktywowane Siły, Royal Cosmos Force, które lada dzień nowy rząd oficjalnie powoła do życia.

- Coś takiego! - burknąłem sceptycznie.

Na palcach stóp Milady kiwał się miarowo w przód i w tył.

- Pamiętasz ostatnie zdanie z tego reportażu, od którego zaczęła się ta awantura? - spytał. - „Kim przeto rzeczywiście był admirał Douglas Westrex?” Otóż był on przede wszystkim dalekowzrocznym politykiem. Tę bazę na Marsie zbudował w tajemnicy przed rządem, przed tą frakcją parlamentarną, która domagała się likwidacji erceefu i która w końcu przeparała swój wniosek. O „Revenge 118” wiedzieli nieliczni: wiceadmirał Hope, Egil Hovland, ja...

- Egil Hovland? Ten z Marsa?

- Ten sam. Pełnił funkcję kierownika filii Korporacji Przewoźników Czarterowych, żeby być blisko tej bazy. Była nas niewielka grupa, ale mieliśmy swoich ludzi wszędzie, także w prokuraturze wojskowej. Jefferson, który przez trzy tygodnie maltretował cię przesłuchaniami, to też nasz człowiek. - Milady znieruchomiał na palcach, po czym opadł na pięty. - Nie, nie zamierzaliśmy dokonywać puczu.

Przeciwnie, czekaliśmy bezradnie, aż faceci z Komisji Likwidacyjnej wyniuchają tę bazę i przypieczętują zagładę Sił. I nagle z odsieczą pośpieszył nam Alians Południowoafrykański. Tak, Alians Południowoafrykański, jego wojowniczość i uzbrojenie: działa typu „Hikari”. Szurając butami kontradmirał wrócił na poprzednie miejsce, pod narożny sejf.

- Tuż po twoim odlocie do Pretorii - kontynuował - Hope wystąpił z przewrotnym planem pomieszczenia szyków naszej opozycji parlamentarnej. Plan przewidywał rozdmuchanie kwestii marsjańskiej bazy wojskowej do rozmiarów afery politycznej. Należało wystraszyć bezstronnego i dociekliwego dziennikarza, który lecąc w jakichś tam swoich interesach na Marsa, zupełnie przypadkowo znalazłby się w okolicach „Revenge 118”, i któremu, bez jego wiedzy, nasi chłopcy ułatwiliby również zupełnie przypadkowe odkrycie tej bazy. Zasugerowaliby mu, że jest to baza otoczona nieprzeniknioną, złowrogą aurą, że Departament Obrony ani chybi ukrywa tę bazę przed parlamentem, że może rząd cichaczem ją finansuje dla siebie tylko wiadomych, ale na pewno niecnym celów. Taki polityczny skandalik to dla każdego dziennikarza łakomy kąsek.

- Ach tak!

Milady łypnął na mnie z miną winowajcy.

- Nadawałeś się idealnie do tej roboty, Seymour. Jako dziennikarz jesteś wiarygodny i sprawdzony, ponadto erceef to twoja domena... W nasze plany wtajemniczyliśmy Terence'a...

- Terence'a? - spytałem ze zdumieniem.

- Zanim ty wstąpiłeś do Sił - odrzekł Milady tonem wyjaśnienia - Terence był rzecznikiem prasowym sztabu. - Zrobił pauzę, po której podjął z przymusem: - To on napisał za ciebie „Admirała Douglasa Westrexa”.

- Na litość boską, po co?

- Na przynętę. Wiedzieliśmy, że będziesz usiłował ustalić, kto jest autorem tego reportażu. Terence zresztą chciał ci w tym pomóc finansowo. A Roy Salaz, też jeden z naszych, miał cię, hm... wspierać moralnie. Niemal zobaczyłem przed sobą twarz Terence'a i błysk zawodu w jego oczach po tym, jak mu powiedziałem, że sprostowanie na łamach jego tygodnika całkowicie mnie usatysfakcjonuje. Potem wspomniałem lekceważący uśmiezek Roya Salaza i jego słowa: „Z panem prawdopodobnie nie będą się liczyć”.

- Załatwiliście mi darmowy rejs na Marsa, żebym tylko tam poleciał i wpadł prosto w łapy Egila Hovlanda.

- Załatwiliśmy i przewidzieliśmy bez mała wszystko. Przewidzieliśmy nawet to, że brykniesz z Marsa „Starfiashem”. Szef służb kontroli powietrznej zadbał, żeby pojawienie się twojej maszyny na monitorach radarów nie zaalarmowało obrony pelot. Lądowałeś jako obiekt specjalny. - Milady obejrzał czubki swoich butów. - A później był ten tydzień czekania na to, co zrobisz. Terence nie posiadał się z radości, kiedy wreszcie przyniosłeś mu „Cień feniksa”, materiał taki, jaki był nam potrzebny. Alians Południowoafrykański ma na Marsie swoich agentów: paru spryciarzy, nad którymi czuwamy. Zweryfikowali oni twoje doniesienia. Wysłane przez nich raporty dotarły do ich mocodawców, no i przedstawiciele Aliansu...

- ... stali się bardziej ugodowi w pertraktacjach? Kontradmirał wyprostował zgarbione plecy i spojrział na mnie zmęczonym wzrokiem.

- Właśnie. Porozumienie w Pretorii osiągnięto dzięki temu, że poza Ziemią posiadamy jednostkę wojskową zdolną zagrozić całemu Aliansowi Południowoafrykańskiemu. Ten fakt, fakt, że tylko regularne Royal Cosmos Force mogą zagwarantować jako tako ustabilizowaną sytuację międzynarodową sprawił, że niektórym ludziom z naszego rządu opadły łuski z oczu. Wroga Siłom frakcja parlamentarna przegrała, musiała ustąpić. Ze zwieszoną głową przespacerowałem się po kamiennej posadzce w tę i z powrotem.

- Przecież można było - powiedziałem - po prostu zamówić taki materiał u Terence'a.

- O nie, Seymour. Chodziło nam o pełny autentyzm, bo sprawa była zbyt poważna i skomplikowana, żeby do jej rozwikłania używać półśrodków. Sprokurowany doraźnie materiał o tej bazie mógłby przynieść skutek wręcz odwrotny: mógłby budzić podejrzenia, że opublikowano go przy poparciu naszego rządu, który w ten sposób pragnie odciąć się od już zdziesiątkowanych, ale wciąż jeszcze aktywnych w naszym kraju stronnictw, co to niby zdradzają ciągoty militarystyczne, że jest to odgórnie sterowane, prasowe przygotowanie do definitywnego rozprawienia się z niedobitkami erceefu. „Cień feniksa” zaś, ta relacja, którą napisał względnie obiektywny, bynajmniej nie prorządowy dziennikarz i której prawdziwość została przez Alians drobiazgowo sprawdzona... to ważne: prawdziwość całej relacji, nie tylko samego doniesienia o odkryciu „Revenge

118”... więc ta relacja wywoływała wrażenie, że nasz kraj prowadzi politykę podwójną i nie jest ani tak bezbronny, ani tak niewinny, za jaki stara się uchodzić. Twoje aresztowanie, aresztowanie Egila Hovlanda i Terence’a, miało spotęgować to wrażenie. Jefferson męczył się przesłuchiwaniami!™ też nie bez kozery. Braliśmy pod uwagę ewentualność zwolnienia cię z paki już po kilku-kilkunastu dniach, żebyś po wyjściu na wolność wyciął kolejny artykuł atakujący nasz rzekomy reżim militarny. Jakoś obyło się bez tego.

- Akcja zapięta na ostatni guzik - mruknąłem pod nosem.

Już wcześniej, w „Przybyszu”, napisałem, że Milady zawsze się kochał w „akcjach zapiętych na ostatni guzik”, w „akcjach dopracowanych”, i rzeczywiście potrafił je dopracować tak, że dawały one optymalne wyniki. Może pomysłodawcą tej intrygi politycznej był wiceadmirał Hope, ale jej przeprowadzeniem zajął się niewątpliwie Milady. I - musiałem to przyznać, mimo mojej prywatnej niechęci do „miladiowskiej organizacji” - przy tej robocie wzniósł się na wyżyny, rozwinął cały swój kunszt. Patrząc na mnie kontradmirał ciągnął:

- Po przedstawieniu rezultatów działalności zyskaliśmy w parlamencie spore wpływy. Doprowadziliśmy do podpisania wstępnego porozumienia w Pretorii i co najważniejsze... do reaktywowania Royal Cosmos Force - jakby chcąc odwołać się do faktów, wymierzył palec w sufit.

Pomyślałem o wrzawie trwającej w holu i na wyższych piętrach gmachu, o cywilach i wojskowych, którzy biegali tam zaaferowani wśród jeszcze nie rozplombowanych skrzyń z dokumentacją, wśród sprzętów biurowych, od pokoju do pokoju, od samochodów warczących na dziedzińcu do wind, po schodach i korytarzach. Podniecenie tamtych ludzi zdawało się przenikać betonowe stropy; niezauważalnie dla samego siebie zaczynałem ulegać atmosferze panującego wokół ożywienia.

Kontradmirał zbliżył się do mnie i położył mi dłoń na ramieniu.

- Ja wiem - powiedział - że jesteś na rencie, ale... ale brak nam wykwalifikowanej kadry, a stanowisko szefa pionu szkoleniowego w Admiralicji doprawdy nie jest facygujące. Co ty na to, Seymour?

JACEK SAWASZKIEWICZ - Raport

Szanowny Panie Redaktorze!

Na wstępie - aby zniechęcony długością tego listu nie cisnął go Pan do kosza nie przeczytawszy do końca - podaję, że nazywam się Ruth Arnold Ronevoeld i że piszę do Pana w sprawie Manfreda Satterwhite'a, dziennikarza z redakcji Pańskiego poczytnego tygodnika.

Jak Panu wiadomo, Manfred Satterwhite trzy miesiące temu udał się do mojej posiadłości w Chrysanthemum, aby prosić mnie o wypowiedź na temat zjawisk parapsychologicznych, zwłaszcza telepatii. W istocie zamiar przeprowadzenia ze mną rozmowy był jedynie pretekstem do wtargnięcia na teren mojej pracowni: Manfred Satterwhite był agentem wojskowej siatki wywiadowczej i w trakcie swojej wizyty miał się zorientować co do możliwości wydobycia ze mnie pewnych informacji lub zagarnięcia materiałów dotyczących moich badań.

Śpieszę Panu donieść, że Manfred Satterwhite dotarł do Chrysanthemum szczęśliwie, lecz gdy zatrzymał swój wóz przed moim domem, nie pamiętał już celów ani zadań, które postawili przed nim jego bossowie z siatki wywiadowczej. Motywacje psychiczne Manfreda Satterwhite'a uległy zmianom, do których pozwoliłem sobie przyczynić się w niejaki stopniu. Ufam, że jest Pan ciekaw tych zmian i że rad by Pan poznać przyczyny, dla których Manfred Satterwhite od trzech miesięcy nie pojawił się w Pańskiej redakcji, toteż załączam do tego listu stosowne wyjaśnienie. Niech Pan daruje jego nazbyt beletrystyczną formę. Uważam jednak, że w takiej formie potrafię wypowiedzieć się całkowicie i w sposób zrozumiały.

Z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę Manfred Satterwhite minął 137 słupek milowy Autostrady Zachodniej i do Chrysanthemum pozostało mu jeszcze czterdzieści minut jazdy. Z domu wyruszył zaraz po śniadaniu i teraz, w miarę jak zbliżało się południe, odczuwał narastające ssanie w dołku. Jego gospodyni, zapobiegliwa, tłusta Stefanie o nie zaspokojonym instynkcie macierzyńskim, przygotowała mu na drogę torbę z sandwiczami i termos z kawą, ale on oczywiście zapomniał o tym prowiancie. Palił więc papierosa jednego po drugim, przełykał ślinę i wyobrażał sobie półmisek żywych ostryg albo gotowanych homarów, których nie cierpiał - wszystko po to, żeby zabić głód.

Zapomniał, cholera, 'oJym prowiancie, tak się przejął wskazówkami bossa.

Przed 139 słupkiem milowym stał na poboczu Pontiac z otwartą maską i parującą chłodnicą. Za tylną szybę samochodu wetknięta była kartka z dużym, odręcznym napisem: Potrzebuję paska klinowego. Satterwhite miał w bagażniku swojego wozu dwa zapasowe paski, ale choćby miał ich dwadzieścia, nie odstąpiłby żadnego, bo z jakiej racji ktoś, komu zabrakło rozsądku, ma korzystać z jego, Manfreda Satterwhite'a, przezorności?

Nad autostradą wisiał lekki smog i drgało rozgrzane powietrze. Satterwhite niemal z rozrzewnieniem wspomniął chłodny cień garażu municypalnego przy Hawthorn Park, gdzie spotkał się z bossem. Boss siedział za kierownicą klimatyzowanego Lincolna (a jakże, takich stać na te wielkie amerykańskie limuzyny), siedział rozparty i golił się elektryczną maszynką zasilaną z akumulatora. Na serdecznym palcu jego lewej dłoni błyszczał ciężki, złoty sygnet. Satterwhite zaparkował wóz tuż przy wozie bossa i opuścił boczną szybę. Powietrze, mimo słabego zapachu

benzyny i spalin, było tam przyjemnie orzeźwiający.

- Słuchaj, Manny - powiedział cicho boss. Wyłączył maszynkę. - Ten facet nazywa się Ruth A. Ronevoeld. Ruth Arnold Ronevoeld. Mieszka w Chrysanthemum. Znasz te okolice? Satterwhite bez przekonania przytaknął.

- To parapsycholog - ciągnął boss. - Spec od telepatii. Mówią, że czyta w ludzkiej głowie jak w książce. Udało mu się odkryć fale przenoszące myśli i opracował teorię zjawisk telepatycznych...

W garażu panował ruch zwykły o tej porze. Najbliższe samochody stały od nich w sporym oddaleniu. Niski grubas ze skórzaną teczką pod pachą wsiadł do Renaulta i odjechał, przepuściwszy Cadillaca, który zdołał się zatrzymać przede wszystkim dzięki ścianie garażu. Wysypała się z niego grupka wrzaskliwej młodzieży. Nieco później między kolumnami przemaszerował na niepewnych nogach młody, niechlujny brodac. Mamrocząc coś do siebie oddalił się w stronę przeciwległego wylotu. Potem biała Panda przejechała opodal z piskiem opon. Boss szeptał jak grzesznik do konfesjonału:

- O tym, żeby go zwerbować, szkoda marzyć. To samotnik, do tego nieufny. Ale z dziennikarzami rozmawia chętnie i jeszcze się nie zdarzyło, żeby któregoś potraktował opryskliwie. Jest raczej przychylnie nastawiony do ludzi i jeśli ci się uda uspić jego czujność, będzie paplał o swojej pracy jak przywódca partii labourzystowskiej. Dlatego zważaj na każde słowo.

- Mhm.

- Poproś go o wypowiedź dla swojego tygodnika. Powiedz, że chciałbyś przybliżyć jego osobę czytelnikom, więc jeżeli nie ma nic przeciwko temu, to zostaniesz w Chrysanthemum przez jakiś czas i poobserwujesz go przy robocie. Ręczę, że się zgodzi., - Okay.

- Nie siedź tam za długo, no i żadnych kontaktów. Żadnych telefonów, żadnych telegramów, żadnych listów. I uwaga: razem z nim mieszka siedemdziesięcioletnia gospodyni. Ruchliwe, wścibskie i despotyczne babsko. Ronevoeld jest właścicielem chlewni, zatrudnia kilkunastu ludzi, ale z powodu tej baby nikt tam nie wytrzymuje dłużej niż pół roku. Na wszelki wypadek bądź dla niej miły.

- Dobra.

Manfred Satterwhite patrzył na szosę wpadającą pod koła samochodu. Usypiał go ten jednostajny szum silnika, gumy trącej o asfalt i rozpruwanego powietrza. Puścił gorącą, wilgotną od potu obręcz kierownicy, by zapalić następnego papierosa. Dym zaszczytał go w język, a fale czczości napłynęły mu do gardła. W lusterku wstecznym odbijały się lśniące karoserie: sunącego z tyłu granatowego Caville'a i czarnego Mercedesa. Tuż za nim jechał radiowóz. Gliny. Satterwhite odruchowo zerknął na tachometr i zmniejszył gaz. Pozwolił się wyprzedzić, po czym rzekł głośno:

- Odkrycia tego gościa mogą zrewolucjonizować metody szpiegowskie.

Zastanowił się. Boss wtedy powiedział mu jeszcze:

- On rzekomo potrafi odczytać myśli nawet człowieka zamkniętego w klatce Faradaya, przenika myślą wszelkie znane nauce zapory ekranujące. Miej się na baczności, Manny. Od chwili kiedy zjedziesz z autostrady na drogę do Chrysanthemum, możesz myśleć o wszystkim, byle nie o swoim zadaniu.

- Nie będzie to łatwe.

- Dlatego nie siedź tam długo. Wybraliśmy ciebie. Manny, bo między innymi znasz się na hodowli trzody chlewnej. Aha, taka ciekawostka: podobno Ronevoeld nawiązuje ze swoimi świniami kontakt myślowy.

- Telepatyczny świniopas, co?

- Będziecie mieli żelazny temat do rozmów. Rzeczywiście, temat jest wdzięczny. Na przykład teraz Manfred Satterwhite najchętniej pogadałby z Ronevoeldem o prosiętach. O jednym prosięciu, takim umieszczonym w brytfannie, przyrumienionym na złocisty kolor, błyszczącym od tłuszczu, upieczonym w aromatycznych ziołach. Niemal poczuł ów zapamiętany z dawnych lat zapach i aż się skręcił z głodu. Natychmiast wyobraził sobie obrzydliwego homara rozciągniętego na talerzu, ale niejasnym zbiegiem okoliczności homar miał świński ryj i nie chciał mieć innego.

W domu Satterwhite'ów na Święta Wielkanocne zawsze było pieczone prosię. Ojciec Manfreda wybierał je z ostatnich miotów już na tydzień przed tym, zanim trafiło ono do piekarnika. Wybierał to, które było najsilniejsze, najbardziej sprytne i przedsiębiorcze (no, chłopcze, idziemy wybrać najbardziej egoistycznego drania). Postępował nie jak hodowca, ale też nie miał natury hodowcy, miał naturę pastora. Później matka sprawiała tego prosiaka: zarzynała go, patroszyła i nadziewała. Po upieczeniu wkładało mu się do pyska jajko wielkanocne bądź kawałek chrzanu. Manfred Satterwhite otrząsnął się ze wspomnień i zdusił papierosa w popielniczce.

- Swoją pomoc przy badaniach, Manny - polecił mu boss - zaofiarujesz Ronevoeldowi po paru dniach, kiedy ten samotnik nabierze do ciebie zaufania. Masz ustalić typ sejfu, w którym on przechowuje dokumentację, i rodzaj zabezpieczającego systemu alarmowego. To całe twoje zadanie.

- Więc chcecie, żebym to zrobił, ale nie wolno mi o tym myśleć?

- Jesteś dobrze wyszkolonym wywiadowcą, Manny. Przed kasami opłat drogowych Satterwhite zwolnił, by wrzucić monetę do automatu, a pięć minut później utknął w kolumnie samochodów pełną prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

- Najgorzej będzie pierwszego dnia. Otworzy ci pewnie gospodyni, ta starucha. Zaprowadzi cię do salonu i każe ci czekać. Ronevoeld przetrzyma cię tam samego przynajmniej z kwadrans. To jego taktyka, dokonuje wtedy rozpoznania. Od tego kwadransa może zależeć powodzenie całej twojej akcji. Dopóki Ronevoeld nie wejdzie do salonu, musisz myśleć o reportażu, bez przerwy o reportażu i tylko o reportażu. Potem wyłuszczysz cel swojej wizyty. Ronevoeld albo cię spławi, albo wskaże ci pokój gościnny. Samochody miały rozbitego i przewróconego Buicka Rivierę. Ślady na asfalcie wskazywały, że Buick szorował bokiem po nawierzchni przez prawie pięćdziesiąt metrów. Opodał, na pasie wydzielonym dla obsługi autostrady, stał dźwig do usuwania wraków. Jego operator siedział w otwartej kabinie i patrzył na śmigłowiec sanitarny, który wisząc w powietrzu wybierał miejsce do lądowania na środkowym trawniku. Młody policjant, rozsierzony i zlany potem, przepuszczał kolejno samochody lewą stroną i gestami ponaglał kierowców do szybszej jazdy. Dalej kolumna ruszyła rażniej. Manfred Satterwhite wyprzedził roznegliżowaną blondynkę w seledynowym kabriolecie i Mercury'ego z małżeństwem i dwojgiem dzieci nieco pobladłych i podnieconych oglądanych przed chwilą widokiem. Jechał teraz za szerokozadym krążownikiem. Tylne siedzenie tamtego wozu było puste, przypominało kanapę tapicerowaną obiciówką w pastelowe pasy. Nieoczekiwanie, na tle autostrady, Satterwhite zobaczył niewyraźne wnętrze salonu. Stała tam ta pasiasta kanapa, dobrane do niej cztery krzesła, owalny stół z jesionu, serwantka i komoda. Podłogę zaścierał wzorzysty dywan w dominującym kolorze zielonym, ściany pokryte były jasnymi tapetami, duże okno zasłaniała drapowana, koronkowa firana. Dziwna cisza panowała wokół, dawało się słyszeć jedynie tykanie zegara. Cisza i kojący spokój. Manfred Satterwhite poczuł, że ogarnia go senność. Gwałtownie potrząsnął głową i obraz znikł. Wóz prawymi kołami był już za ciągłą linią, a szerokozady krążownik kierował się właśnie w stronę wjazdu na ślimak. Oliwkowy Chevrolet

trąbiąc przeraźliwie przemknął tuż obok i Satterwhite skręcił ostro na swój pas. - Przeklęty upał!

Na miejscu przede wszystkim poprosi tę staruchę o zimny tusz. Potem wypije coś z lodem. Razem z Ronevoeldem usiądą w gabinecie, przy szklance kruszonu i będą rozmawiać... o czym? O czym on ma rozmawiać z tym gościem? Owszem, ma o czym: o hodowli. Jego rodzice hodowali tamworsy i o warunkach chowu tych świń Ronevoeld może sporo dowiedzieć się od niego. Spraw związanych z telepatią nie będą dzisiaj poruszać. A co do sejfu... zostawi go sobie na którąś noc. Wpierw musi ustalić jego lokalizację.

Za 151 słupkiem milowym był zjazd do restauracji „Seanie”. Manfred Satterwhite zaparkował wóz obok żółtego Mustanga, rozprostował kości i pchnął oszklone drzwi lokalu. Wewnątrz było chłodno i pustawo; tylko kilka osób, które wpadły tu, by ugasić pragnienie, zajmowało stoliki. Pustawo było także na półkach gabloty. Prawdopodobnie Właściciel „Seanie” uważał, że dbać o dobre zaopatrzenie opłaca mu się wyłącznie podczas weekendów. Satterwhite usiadł przy barze. Zamówił dwa hamburgery z kawą i kurczaka. Jadł łapczywie, obserwując ruch na autostradzie za oknem i skręcającego na parking przy restauracji bordowego Talbota, z którego wygramolił się wysoki, żylasty mężczyzna z synem. W drzwiach wejściowych przepuścili oni trzy opuszczające lokal dziewczyny ubrane w podwinięte bluzki i postrzępione džinsy. Mężczyzna poprosił o dwie porcje lodów i czekał. Oparty o blat baru, jego syn wdrapał się na stołek, gdzie przycupnął nastroszony. Dziewczyny wsiadły do żółtego Mustanga i odjechały.

Manfred Satterwhite dopił swoją kawę, odliczył drobne i poszedł do toalety, by opłukać zimną wodą twarz, uszy i szyję.

W garażu przy Hawthorn Park, chowając maszynkę do golenia w skrytce pod kierownicą, boss powiedział mu;

- Wysyłamy ciebie, Manny, bo to zadanie dla dyplomaty. Masz mówić co innego, myśleć co innego i robić co innego.

- A w nocy? Dyplomacja moich snów pozostawia nieco do życzenia.

- W nocy Opatrzność będzie nad tobą czuwała.

Nie. W nocy sam będzie czuwać. Tę jedną czy dwie nieprzespane noce jakoś wytrzyma, a tyle powinno mu wystarczyć na załatwienie się z tym sejfem.

Woda ciurkała z kranu. Satterwhite wycierał rękami kark i patrzył w lustro na odbitą w nim przeciwległą ścianę toalety wyłożoną glazurą w kolorze tapety z tamtego salonu.

I nagle znów zobaczył ten salon: proste, funkcjonalne krzesła i kanapę w pastelowe pasy, owalny, jesionowy stół na jednej nodze, serwantkę pełną porcelany, komodę - z mosiężnymi okuciami i zielony, ozdobny dywan - zobaczył to wyraźnie, jakby stał tam, w tym wnętrzu, i słuchał tykania zegara.

Ktoś wszedł do toalety i Satterwhite ponownie ochlapał twarz zimną wodą. Papierowy ręcznik cisnął do kubła, wrócił do sali restauracyjnej i kupił dwie puszkę zamrożonej coca-coli na drogę. Kiedy zatrząskiwał drzwiczki swego wozu, wciąż jeszcze miał przed oczyma blaknący obraz tamtego salonu. Zapuścił silnik i włączył się do ruchu na Autostradzie Zachodniej.

Nigdy dotąd nie doznawał żadnych halucynacji. Był zdrowy i dbał o zdrowie. Uważał, że halucynacje są jednym z objawów tych różnych chorób psychicznych, których lękał się wprost hipochondrycznie, niemniej teraz nie odczuwał lęku. To było nawet zabawne i mogło stanowić punkt wyjścia rozmowy z Ronevoeldem na temat zjawisk parapsychologicznych. W końcu niektóre zaburzenia psychiczne w swoich objawach przypominają rzekome sukcesy znane z kontrowersyjnych

relacji rozmaitych mediów. Oczywiście Ronevoeld może się obruszyć na takie stawianie sprawy, ale przecież nauce znane są wypadki przejawiania wybitnych zdolności telepatycznych przez osobników upośledzonych umysłowo. Warto mu o tym napomknąć. Nie, raczej nie, Ronevoeld gotów się obrazić. Na początek bezpieczniej jednak będzie wziąć sobie za przedmiot rozmowy hodowlę. Przede wszystkim należy sprawdzić, jaką rasę świń ten facet hoduje. Jeżeli wielką białą albo, na przykład, berkszyry...

- Zaraz, co ja właściwie mam tam robić? Manfred Satterwhite wdusił pedał hamulca i zjechał na pobocze. Przeciągnął dłońmi po twarzy, zaczerpnął do płuc powietrza i odchylił głowę na oparcie. Zbierał myśli. Więc Ronevoeld ma w swoim domu sejf, w którym przechowuje dokumentację naukową dotyczącą zastosowania w praktyce zjawisk telepatycznych. On, Satterwhite, ma ustalić typ sejfu i rodzaj zabezpieczenia systemu alarmowego. Wywiad wojskowy interesuje się także chlewnią Ronevoelda: warunkami hodowli i stanem pogłowia nierogacizny. Nie, to nie jest istotne. Ale nie od rzeczy będzie zbadać wpływ telepatycznego chowu na przyrost masy mięsno-tłuszczowej u poszczególnych sztuk. Te dane mogą być ciekawsze od zawartości sejfu. Gdyby Satterwhite'owie stosowali metodę Ronevoelda być może nie musieliby likwidować swojej chlewni... o ile ta metoda jest rzeczywiście taka skuteczna...

- Coś się stało?

Opalony na brąz policjant zapukał w boczną szybkę.

Satterwhite oprzytomniał.

- Proszę? - spytał.

Dopiero teraz spostrzegł radiowóz, który zatrzymał się dwa metry przed jego samochodem. Drugi policjant siedział za kierownicą i składał meldunek przez radio.

- Pytam, co się stało? Czy pan źle się czuje?

- Nie. Tak. To znaczy - Satterwhite odetchnął głęboko - miałem jakieś zawroty głowy. Ten upał...

Ale już mi przeszło.

Policjant przyjrzał mu się uważnie. Obrzucił wzrokiem wnętrze wozu.

- Nie chcę pana ponaglać, ale tu nie wolno parkować.

- Rozumiem - Satterwhite wyjął ze skrytki puszkę coca-coli i zerwał z niej zawleczkę. - Napije się pan? Mam jeszcze drugą.

- Nie, dziękuję. No, owszem, można tu stanąć na chwałę, ale żeby nie trwało to zbyt długo.

- Oczywiście. Skończę pić i zaraz ruszam.

- Na pewno nie potrzebuje pan pomocy?

- Nie. Już jest wszystko w porządku.

- Życzę szerokiej drogi.

- Wzajemnie.

Satterwhite położył pustą puszkę na siedzenie, zapalił papierosa, a potem patrzył, jak radiowóz maleje w perspektywie autostrady.

Kilkudniowy pobyt na wsi, na świeżym powietrzu - kto wie, czy nie powinien być za to bossowi wdzięczny. Kiedy są takie upały, w mieście trudno wytrzymać. Dobrze, że tam, w garażu przy Hawthorn Park, nie padły żadne konkretne terminy, wykonanie zadania będzie można trochę odwlec. Ronevoeld, wzorem innych hodowców, z pewnością ma chlewnię z automatami do podawania pasz („albuwitu”, tej diabła wartej mieszanki, chyba nie stosuje, do licha?), chlewnię halową, która daje większe straty niż tuczarnia tradycyjna, oparta na systemie alkierzowym. To prawda, chów w kojcach

jest drogi i pracowity, ale w sumie bardziej opłacalny. Trzeba by o tym Ronevoeldowi powiedzieć.

Manfred Satterwhite uruchomił starter. Po pięciu kilometrach jazdy zobaczył skracającą z autostrady szosę, która wiodła do Chrysanthemum. Wjechał na nią.

Tak oto, Panie Redaktorze, przedstawiona tutaj w dużym skrócie, przebiegała podróż Manfreda Satterwhite'a do mojej posiadłości w Chrysanthemum, gdzie czekała na niego zimna kąpiel, szklanka kruszonu i upieczone przez moją gospodynię aromatyczne prosie - podane w salonie urządzone w stylu biedermeier.

Udam, że Pańskiej bystrej uwadze nie uszły zmiany zachodzące w motywacjach psychicznych Manfreda Satterwhite'a podczas jego podróży do Chrysanthemum. Być może przedstawiłem je nieudolnie, lecz mój telepatyczny wpływ na owe zmiany był bezsprzecznie udany. Dowodem tego jest entuzjazm, z jakim Manfred Satterwhite oddaje się swemu obecnemu zajęciu. Większość dnia spędza on mianowicie w chlewni lub nad planami powiększenia hodowli. Naturalnie mój wpływ na zmianę w motywacjach psychicznych Manfreda Satterwhite'a był pośredni. Będąc z nim w kontakcie uświadomiłem mu tylko jego skryte, zepchnięte do podświadomości, marzenia i potrzeby. Żadna siła paranormalna nie jest w stanie nakłonić człowieka do działań niezgodnych z jego wolą, niemniej może mu pomóc w powzięciu decyzji.

O planie siatki szpiegowskiej, której agentem był Manfred Satterwhite, wiedziałem już wtedy, gdy plan ten wylegał się w głowach bossów wojskowego wywiadu, między innymi - w Pańskiej, Panie Redaktorze. Będę znał także dalsze Pańskie plany, toteż radzę Panu zastanowić się głęboko nad samym sobą. Jeśli wolno mi coś sugerować, to proszę wziąć pod rozwagę, że w mojej chlewni jest jeszcze kilka pierwszorzędnych wakujących stanowisk.

Łączę wyrazy szacunku Ruth A. Ronevoeld

JACEK SAWASZKIEWICZ - GUZIK

Do wyznaczonej godziny pozostał kwadrans. Przez bulaj wpadało niewiele dziennego światła, ale dyspozytornia - serce tej maleńkiej bazy na Marsie - była oświetlona w dostatecznym stopniu, zresztą generał Henk de Boer przywykł do półmroku. Przywykł także do ciszy i tutaj nic jej nie zakłócało. Półmrok i cisza - polubił to wręcz, zżył się i zaprzyjaźnił z tymi cechami tak charakterystycznymi dla gabinetów, w których zeszło mu dokładnie dwadzieścia lat życia.

Dokładnie dwadzieścia.

Dwadzieścia lat służył swojemu narodowi i po dwudziestu latach kazano mu złożyć rezygnację. To była krecia robota Koopmansa i jego kliki parlamentarnej, tych cholernych bubków, wymuskanych i układnych, wyciągających ręce po ministerialne stołki. Koopmans był jeszcze młody, ale wiedział, że otaczają go ludzie niedużo młodszy i równie ambitni i że lada dzień któryś z nich może go przerosnąć. Wiedział o tym, więc się śpieszył. Spiskował, rył i czyhał. Generał Henk de Boer spojrzął na zegarek. Jeszcze dwanaście minut. Obszedł ciasne pomieszczenie dyspozytorni i zatrzymał się przed pulpitem. W jego centrum wyzywająco srebrzył się niklowany guzik. Guzik, który miał być naciśnięty za dwanaście minut i tylko raz. Guzik do jednorazowego użytku.

Tak go nazwał porucznik Cliff, kierownik zespołu elektroników montujących układ sterowania: „Guzik do jednorazowego użytku”. Wtedy już było jasne, że Koopmans, dowódca związku operacyjnego w sile armii powietrznodesantowej, ostatecznie obejmie buławę marszałkowską. Stało się to jasne bez mała rok wcześniej, podczas uroczystości państwowych, kiedy niezależnie od przemówienia Henka de Boera telewizja nadała przemówienie Koopmansa, jakby ten biedny idiota mógł mieć prawo do własnych, odmiennych poglądów i być partnerem do ich wymiany. To, że wystąpił on publicznie, najdobitniej świadczyło o jego niebywałej pewności siebie i tupecie, sam fakt, że w tamtym dniu pokazał się na ekranach telewizorów, wypadało uznać za próbę podkopania autorytetu naczelnego dowództwa. Ale Koopmans posunął się jeszcze dalej: niedwuznacznie wyraził zastrzeżenia wobec programu politycznego Henka de Boera. Generał czubkiem kościstego palca musnął srebrzysty guzik i zaraz cofnął dłoń. Pozostało już tylko dziewięć minut. Tylko dziewięć. Komputer obliczył wszystko precyzyjnie: właśnie dzisiaj i właśnie o szóstej osiemnaście czasu środkowoeuropejskiego - tak, żeby prezent dla Koopmansa i jego popleczników dotarł na Ziemię w dniu i o godzinie, kiedy temu oportunistycznemu karierowiczowi, temu biednemu idiocie oficjalnie wręczać będą nominację.

„Nie ja o tym decyduję, ale skoro mnie o to pytacie, to odpowiem, że moim zdaniem ograniczenie wydatków na zbrojenia do pięciu procent nie stanowiłoby istotnego zagrożenia dla naszego potencjału militarnego” - tak wyrębał z ekranu Koopmans. Przecież to jawny zamach na rację stanu!

Henk de Boer chusteczką wytarł z potu dłoń i podszedł do bulaju.

Siedem minut.

Koopmans wyraził bezczelne, prowokacyjne zastrzeżenia wobec jego programu politycznego, a potem, kiedy w otoczeniu dowódców innych związków operacyjnych stali na trybunie i odbierali defiladę, zachowywał się jak rozegzaltowana pannica: machał ręką do tłumów i szczyrzył zęby do kamer. Piekielnie chciał się przypodobać motłochowi. No i motłoch witał go entuzjastycznie. To dawało do myślenia. Tamtego dnia generał Henk de Boer zrozumiał, że wkrótce będzie musiał ustąpić.

Nazajutrz wezwał do siebie szefa zabezpieczenia technicznego i zażądał bieżących raportów. Jeden z nich zawierał obiecujące informacje. Na Marsie stacjonował specjalistyczny oddział wojsk inżynieryjno-budowlanych, wyposażony w niezbędne materiały i ciężki sprzęt. Żołnierze wykonywali jakieś nie mające znaczenia i mało pilne prace na rzecz cywilnego przedsiębiorstwa wydobywczego. Henk de Boer odnalazł w archiwum szczegółowy projekt „Triple Hatch” i stwierdził, że to jest to, czego potrzebuje: budowa tej bazy mikro wymagała stosunkowo niewielkich nakładów i przede wszystkim można ją było ukończyć w ciągu trzech miesięcy.

A czas był w tym przypadku czynnikiem decydującym.

I Henk de Boer wygrał swój prywatny wyścig z czasem.

Zanim wymuszono na nim złożenie rezygnacji, żołnierze zbudowali i wyposażyli tę bazę, a prace uzupełniające nadzorował osobiście.

Patrzył teraz na zewnątrz przez pancerną szybę bulaju. Było marsjańskie popołudnie, słoneczne i bezwietrzne, chociaż tu i ówdzie unosiły się z wędym kłaczki rudawego pyłu.

Cztery minuty.

Tam, przed linią horyzontu, spoczywają w betonowych leżach pod warstwą gruntu trzy pociski rakietowe o łącznej sile wybuchu wynoszącej 750 kiloton. Trzy pociski rakietowe, które odpalić mogłoby nawet dziecko. Jeden ruch palca i zadygoczą fundamenty bazy, a potem na kilka chwil zmieni się wygląd tego marsjańskiego krajobrazu. Gejzery piachu buchną w górę odrzucone korpusami startujących rakiet, drgające światło zaleje okolicę, łoskot pracujących silników odrzutowych przeszyje atmosferę i będzie trwał jeszcze wtedy, gdy pył już opadnie, a dym rozplynie się w powietrzu...

Generał Henk de Boer mógł sobie wyobrazić tę scenę. Znów wytarł spocone ręce. Dwie minuty.

Bez pośpiechu wrócił do pulpitu. „Triple Hatch” - trzy pociski rakietowe z głowicami nuklearnymi po 250 kiloton każda, ale Koopmans otrzyma w darze tylko jeden, który trafi w drugi koniec kraju, bo przecież nie chodzi o to, żeby ten biedny idiota od razu wyzionął ducha. Pozostałe dwa, nowo mianowany marszałku, uderzą w twoich sąsiadów. To niemożliwe, żebyście nie potracili głów. Ale nim zaczniecie wzajemnie wysyłać się do diabła, nim ciebie, Koopmans, twoi sąsiedzi wyślą do diabła, może zdążysz się zastanowić, czy rzeczywiście warto „ograniczać wydatki na zbrojenia do pięciu procent budżetu”. Minuta.

Henk de Boer zbliżył zegarek do oczu i zaczął odliczać upływające sekundy. Po pięćdziesiątej położył drżący palec na guziku.

- ... dziewięć... osiem...

Do zobaczenia, ty biedny idioto.

- ... pięć... cztery... Do zobaczenia w piekle.

- ... dwa... jeden... zero!

Dość niepewnie nacisnął guzik i pod palcem poczuł opór. Nacisnął ponownie, aż paznokiec zachrobotał po metalu. Mechanizm ani drgnął.

- Zero!

Nakrył guzik obiema dłońmi i napał na niego całym ciężarem ciała. Bez rezultatu.

- Zero!!

Zrozpatrzony spojrział przez ramię w stronę bulaju. Daleko za szybą, nad zboczem wydmy, leniwie spływał w dół kłębek rudego pyłu.

- Start! Start, do jasnej cholery!

W głębi bazy rozległ się tupot i do dyspozytorni wbiegła młoda kobieta w powiewającym kitlu.

- Sabotaż! - krzyknął na jej widok. - To sabotaż! Nikczemna zdrada!

- Już dobrze, generale - powiedziała ta kobieta. Stała w odległości może trzech kroków od niego i wyciągnęła przed siebie rękę w uspokajającym geście. - Już dobrze. Henk de Boer wciąż opierał się o pulpit. Patrzył, jak kobieta uruchamia przypięty do klapy kitla mikronadajnik, i usłyszał, jak ona mówi:

- Panie doktorze, pacjent z dziewiątki, nasz generał, znowu ma atak.

Oszołomiony oderwał wreszcie dłonie od blatu. Spomiędzy wilgotnych palców wypadł mu srebrzysty guzik i potoczył się po podłodze.

Guzik od starego, wojskowego munduru.

Pożegnanie

Romm zbliżył oczy do okularów lornety nożycowej. Przedpole kipiało od ognia i fontanny płonącego żelaza tryskały kilometrowymi gejzerami w niebo. Baterią miotaczy plazmowych sterował komputer, tylko przy kaemach, które z niewiadomych przyczyn kazano trzymać w bazie, krzątały się trzy roboty. Jeden ustawiał celowniki, przesuwając linię ostrzału od rubieży do rubieży; drugi nadzorował układ chłodzenia i precyzyjnym, oszczędnym ruchem zmieniał taśmy; trzeci przynosił z magazynu amunicję i usuwał niski oraz opróżnione skrzynie. To stanowisko ogniowe posterunku działało sprawnie, co Romm skwitował pełnym zadowolenia chrząknięciem.

W głębi schronu odezwał się brzęczyk i nad wnęką w pomieszczeniu dostawczym zapulsowało białe światło. Taśmociąg uruchamiano często i w różnych godzinach, lecz tym razem nie była to dostawa żywności czy uzbrojenia. Taki sygnał świetlny stary widział w swym całym życiu zaledwie parokrotnie. Inspekcja?

Uchylił pancerną klapę zamykającą wylot tunelu i przysiadł obok ziejącej w ścianie, mrocznej czeluści. Najpierw wynurzyły się z niej pakunki, toboły i walizki. Potem wychynęła głowa o skręconych, ciemnych włosach. Taśmociąg stanął. Przybysz niezdarnie opuścił tunel, wygładził swój wzorowo czysty mundur, po czym wbił wzrok w starego. Miał twarz dzieciaka, gładką, z zarostem jak na brzoskwini; twarz, przy której gęba Romma wyglądała niczym szyderstwo. W jego oczach dostrzec można było cień szacunku.

- Dzień dobry - rzekł.

- To stu dwudziesta ósma, prawda? Dobrze trafiłem? Romm przełknął ślinę.

- Dzień...-odparł.-Pan ze sztabu?

Przybysz potarł policzek, jakby sprawdzał szorstkość nie istniejącego zarostu.

- Poniekąd. Nazywam się Ferr. Przez dwa r. To skrót od łacińskiej nazwy żelaza - rozciągnął wargi w nikłym uśmiechu. - Rodzice chcieli, żebym wyrósł na twardego faceta...

Chłopak mówił dalej, ale myśli Romma zaprzętały rozsypany na betonowej posadzce bagaż. Cholernie dużo tego było.

- No, a to mój osobisty ekwipunek - usłyszał i zobaczył, jak Ferr nonszalancko kładzie ciężko

obutą stopę na przewróconej walizie.

- Pan tu...

- Przyjechałem jako zmiennik. Czoło starego ułożyło się w grube fałdy.

- Zmiennik? A cóż to, szefowie uważają, że nie wykonuję swojej normy czy jak?

Poczuł, że musi się przejść. Podeszedł do drzwi i zawrócił. - He?

Ferr był speszony. Powiedział:

- Nie wiem. Kazali zmienić, to zmieniam. Pan podobno idzie na emeryturę.

Romm znów przełknął ślinę. Cholera, przecież niedawno stuknął mu piąty krzyżyk. Od lat starał się nie myśleć o tym dniu, który oto nadszedł. Stało się, powinien to przyjąć z flegmą starego bojownika.

- Istotnie - mruknął, krytycznie popatrując na pftybysza. - Więc to ty jesteś moim zmiennikiem... Sądziłem, że dadzą kogoś bardziej doświadczonego. To jeden z ważniejszych posterunków. Chłopak zaperzył się. Poróżowiały mu policzki.

- Skończyłem odpowiednie studia - oświadczył niemal obrażony.

Kanonada na zewnątrz ucichła odrobinę, by po chwili eksplodować z większą siłą: odezwał się blok miotaczy unieruchomiony dotąd z powodu przegrzania. Romm wiedział, że w dyspozytorni na niższej kondygnacji zapłonęła nowa kontrolka.

- Coś z chłodzeniem nie tak - westchnął zmartwiony. Pomógł chłopakowi zebrać bagaże. Pracująca z przerwami bateria już od doby nie dawała mu spokoju. Na podręcznym kalkulatorze wyliczył, że straty sięgają trzydziestu procent.

- Trzeba sprawdzić - dodał i zaraz się poprawił: - Będziesz musiał sprawdzić.

Po ciasnych, krętych schodkach zeszli do kwater prywatnych. Stary zapoznał Ferra z rozkładem pomieszczeń. Gdy opuszczali węzeł sanitarny, powiedział:

- Studia, hmm... Więc do tego potrzebne już są studia? Jak to się czasy zmieniają! Ja mam maturę, ale kiedyś wystarczyła, żeby się dostać na to stanowisko. W wąskim korytarzu chłopak przepuścił Romma przodem. Drepcząc za nim szepnął schlebiająco:

- Dużo dobrego o panu słyszałem.

Stary gładko przełknął pochlebstwo. Stanął w pół kroku i obróciwszy się do przybysza rzekł:

- No, w końcu ma się na koncie tych kilka wniosków racjonalizatorskich. Podwyższyłem szybkostrzelność kaemów z 240 do 285 strzałów na minutę. Udowodniłem też, chociaż nie mam dyplomu - podkreślił to - że miotacze plazmowe można ładować w ciągu 500 milisekund.

- Uczono nas tego - zapewnił skwapliwie Ferr.

Stali naprzeciw siebie w korytarzu przypominającym miejski kanał - gdzie jedna lampa z trudem dostrzegała żółtawe światło drugiej.

Stary zastanawiał się nad czymś. Wreszcie wykonał zachęcający gest.

- Chodź, chłopcze. Pokażę ci coś. Zaprowadził go do pomieszczenia służbowego, które sąsiadowało z dyspozytornią. Oprócz biurka, dwóch regałów pod sufit i tablicy sygnalizacyjnej znajdował się tu diagram zasłaniający przeciwległą do drzwi ścianę.

- Spójrz na ten wykres. Przedstawia ćwierćwieczny okres mojej pracy. Przez pierwsze pięć lat krzywa zużycia amunicji systematycznie pięła się w górę, a kiedy osiągnąłem perfekcję, nigdy nie opadła nawet o milimetr. Bo w czasie mojej choroby zastępowały mnie roboty, a roboty potrafię trzymać w ryzach.

Ferr podeszedł do tablicy i przeszedł z udaną uwagą bieg czerwonej kreski. Równocześnie z

odległą detonacją trafił palcem w szczyt spiczastego wzniesienia zniekształcającego prosty odcinek linii.

- A ten raptowny skok w trzynas... w czternastym roku pańskiej służby? Romm skrzywił się.

- Hmm... Przypadkowy incydent. Wyleciał wtedy w powietrze cały tygodniowy zapas granatów. I wyobraź sobie, młodzieńcze, że schron wytrzymał. Nawet ścianki działowe. Żeby się chociaż zarysowały. Nic. Solidna robota. Postawiono go jeszcze za czasów mojego dziada. Dziadek. Wspomnienie dziadka zawsze przywoływało mu na pamięć pierwszą ceremonię pogrzebową, w której uczestniczył. Ciało staruszka wyrzucono ze schronu i poddano działaniu plazmy. Romm pamiętał, że buchnęła wtedy chmura kopciucha, na ułamek sekundy zasłaniając drgające ogniem przedpole. Buchnęła chmura kopciucha i kolejny weteran opuścił redutę zgodnie z wojskową tradycją. Z tradycją, której nie zniosły jeszcze idiotyczne przepisy emerytalne.

- A przedtem walczył w zwykłym okopie. I nie było tych tuneli, taśmociągów... Babcia chodziła po obiad z menażkami. Nie tak, jak dzisiaj, wystarczy nacisnąć guzik...

- Uczyliście się tego z historii.

Romm poczuł, że wzbiera w nim gorycz. Szczeniak uparcie próbował przelicytować go nauką. Jakby ten dyplom uprawniał go do Bóg wie czego.

- Do diabła z nauką! - warknął. - Jakby ci przyszło na starość czołgać się kilometrami, i to w okresie, kiedy nikomu nie śniło się o behapie, nie mówiłbyś o nauce. Praktyka, synku, praktyka. A babcia nigdy nie uroniła ani kropli z menażek. I jaką wtedy grochówkę gotowali! Nie to, co dzisiejsze syntetyki.

Ferr myślał ze ściągniętymi brwiami. Nie przejął się gadaniem starego, ale po raz pierwszy uświadomił sobie nieuniknioność przemijania. Wyglądał na stroskanego.

- Pana rodzice też tutaj pracowali? - zagadnął ze współczuciem na wyrost.

- Owszem - odparł stary swobodnie. - Miałem także rodzeństwo: starszego brata. Zgubił go nałóg, papierosy. Czulił respekt przed ojcem, dlatego przeważnie palił w prochowni... A ja... Ja nie założyłem rodziny. Czasu nie było. W najlepszych latach do żeniaczki tyrałem po osiemnaście godzin na dobę, żeby wyrobić plan. Później kiedy przyszła rutyna, odeszła ochota. Ale nie narzekam. Mam tu trójkę wiernych robotów i jakoś sobie radzę. Spoczął za biurkiem i położył ręce na poręczach fotela. Jeszcze niezupełnie dotarło do niego, że odchodzi. Nie, nie żegnał się z tą bazą. Po prostu chciał posiedzieć jak dawniej. I sam.

Ferr rozejrzał się za krzesłem. Potem obciągnął mundur, przycupnął na biurku i spytał:

- A do kogo obecnie pan... strzelamy?

Romm wzruszył ramionami. Zaczynał powoli rozumieć, że niebawem nie będzie słyszał uspokajającego grania dział.

- Czy ja wiem. Dziadek miał gdzieś zapisane, ale kartka zginęła. Jak sięgam pamięcią, zawsze waliliśmy do góry. Chłopak zaniepokoił się.

- No, a azymut?

- Dowolny. Żeby coś się działo, przesuwam celowniki zgodnie z ruchem małej wskazówki zegara. Tą metodą załatwiam wszystkich przeciwników w ciągu jednej drugiej doby. Zresztą w końcu nie chodzi o przeciwników... nie wiadomo nawet, czy tacy są... ważne jest zużycie amunicji. Spojrzał na młodego.

- Chyba uczyli was o tym?

Ferr zaprzeczył samym wyrazem twarzy.

- Ale dostałeś jakieś instrukcje w sztabie? - nalegał stary.

- Nie. Nigdy nie byłem w żadnym sztabie. Dali mi skierowanie z koncernu zbrojeniowego. Powiedzieli, że mam walczyć o dobrobyt i że jak przekroczę plan, to napiszą o tym w gazetach i pokażą mnie w telewizji.

Romm uśmiechnął się ze zjadliwą satysfakcją. Co za naiwny szczeniak! I takiego, cholera, przysyłają na ten posterunek.

I taki świeci mu w oczy dyplomem.

Tablica sygnalizacyjna ożyła. Białe światelko, podobne do tego nad wnęką tunelu w pomieszczeniu dostawczym, pulsowało kodem odwołania. Ci, którzy przysłali tu zmiennika, zaczęli się niecierpliwić.

- Chciałbym, żeby pan przekazał mi trochę swoich doświadczeń - powiedział Ferr.

Siedział plecami do tablicy. Romm wycelował brodę w jej - kierunku i chłopak zerknął za siebie. Potem znowu wbił wzrok w starego. Patrzył z napięciem i ponagleniem.

- Hm, odejść... - Romm sapnął zwiększając nacisk dłoni na poręcze fotela. - Co ja tam będę robił? - zapytał sam siebie, po czym twardo rzucił w stronę chłopaka: - Jak tam w ogóle jest, co? Ferr uczynił nieokreślony ruch ręką. Rzekł:

- Słyszałem o domach starców... Ale podobno zakładają w nich strzelnice wyposażone w sprzęt z demobilu. Bo teraz, proszę pana, w bazach instaluje się dezintegratory, a za kilka lat, kiedy skończę korespondencyjny kurs specjalistyczny, otrzymam pozwolenie na obsługę anihilatora antyprotonowego. Cóż to będą za fajerwerki! Romm uniósł się z fotela.

- To ja już wolę pozostać przy konwencjonalnej broni w domu starców - oświadczył i skierował się do wyjścia. - Wracam tak, jak stoję. Za parę dni prześlę ci wykaz rzeczy, które mi odeślesz. Resztę możesz... dezintegrować. Schodami dotarli na wyższe piętro, a następnie do pomieszczenia dostawczego. Stary spojrzął w mroczną czeluść tunelu. Poklepał swego zmiennika po ramieniu.

- Życzę ci, synku, przesunięcia górnej granicy wieku emerytalnego do stu lat! Ferr skłonił głowę.

- Bardzo pan łaskaw. Ja panu natomiast życzę pełnej mobilizacji społeczeństwa. Wówczas mógłby pan wrócić do pracy.

- Dziękuję. Dziękuję i żegnam - odparł Romm zajmując siedzenie na taśmociągu.

Chłopak gorliwie sięgnął do wyłącznika. Stary chwycił go za przedramię.

- Jeszcze jedno - powiedział. - W sąsiednich schronach jest kilka młodych i niczegowatych dziewczyn. Zajrzyj tam przy okazji. Cześć!

Z wprawą uruchomił taśmociąg i zniknął w tunelu.

- Cześć - rzekł Ferr do pustego wylotu. Przez chwilę tkwił nieruchomo w miejscu. Pojedyncze, słabnące eksplozje przywołały go do rzeczywistości. Energicznie zatrzasnął pancerną klapę i podszedł do lornety. Dwa roboty marudziły przy zaciętym miotaczu. Tak jak w szkolnej bazie treningowej włączył megafony i ryknął:

- Nie grzebać się tam, przeklęte, skorodowane matoly! Do roboty! I ognia, ognia, ognia!!

JACEK SAWASZKIEWICZ - Życie rodzinne

Przed werandą, na której spoczywał dziadek i państwo Foster, znajdowało się niewielkie patio oświetlone sześcioma reflektorami przeciwlotniczymi typu poszukującego. Pośrodku, w prostokątnym basenie wypełnionym po brzegi kwasem pruskim, pluskało się czworo dzieci.

- Ostrożnie, Jack - powiedziała pani Foster widząc, że chłopczyk wypycha brata z brodzika na głębinę. - Ostrożnie, bo się poślizniesz.

Jacek nie mógł dać bratu rady, ponieważ George był starszy i większy, wszedł więc na brzeg i stamtąd skoczył George'owi na głowę. Zabulgotało, a Jack wyrznął tyłkiem o dno i wybuchnął płaczem.

- Widzisz? - powiedziała mama. - Mówiłam.

- Gdzie George? - zainteresował się ojciec.

- Jeszcze nie wypłynął.

- Chyba nie utonął?

- Nie sędzę - odrzekła mama. - Ale bądźcie no ciszej, bo obudzicie dziadka.

- Tato, ta-to! - wrzasnęła nagle Kate. - A Jim poszedł do basenu pepoż. Tam gdzie jest woda.

- Ładnie to tak skarżyć? - Pan Foster westchnął. - Lepiej weź się do nauki, bo jutro możesz być pytana.

- Co to jest woda? - spytała pani Foster.

- Tlenek wodoru, bodajże.

- O rany, jeszcze mi się chłopak struje! Kate przerzuciła parę kartek.

- Ja nic z tej książki nie rozumiem - rzekła płaczkliwie. - Na przykład to: „Milton namiętnie pocałował Cynthię”. Co to znaczy? Ojciec pomyślał trochę.

- Okazał przyjaźń albo uczucie - odparł. - Nie wiem dokładnie. Zapytaj mamy. Pani Foster machnęła ręką.

- Dajcie mi spokój! Martwię się o Jima.

- A co to znaczy las? - ciągnęła Kate.

- Las nie znaczy, tylko jest. To znaczy *był*.

- Co to było takiego?

Pan Foster westchnął znowu i sięgnął po encyklopedię.

- Skupisko drzew - odpowiedział. - Rozróżniamy lasy liściaste, iglaste i mieszane.

- Dlaczego teraz nie ma drzew?

- Hm... Drzewa, podobnie jak dinozaury i inne zwierzęta i rośliny, zniknęły z powierzchni Ziemi wraz z nastaniem nowej epoki. Przyszedł lodowiec, czy coś tam, no i tego...

- Aha - mruknęła Kate. - O, posłuchaj, ależ to śmieszne: „Zmrużyła oczy przed rażącymi promieniami słońca”.

- Rzeczywiście śmieszne - wtrąciła mama. - Jak może słońce razić, skoro go nie widać?

- Autor pewnie miał na myśli wybuch termojądrowy - rzekł pan Foster.

- Tato! - zawołała Kate. - Świergot ptaszyn. Co to jest świergot ptaszyn?

Ojciec ponownie zajrzał do encyklopedii.

- Nie ma takiego hasła - stwierdził z rozdrażnieniem. - Słuchaj, Kate. Może jednak przestałabyś zajmować się tą ogłupiającą lekturą i wzięła do nauki?

- Wszystko przez te biblioteki - oświadczyła mama. - Dzieci tylko nabijają sobie głowy bzdurami. Prawo wstępu do bibliotek powinni mieć wyłącznie fachowcy. A najlepiej by było w ogóle je zlikwidować.

Potężna eksplozja przerwała na chwilę rozmowę. Horyzont rozjaśnił jaskrawy błysk, nad patio przeleciał ryczący wichur.

Znów zapadła ciemność i oprócz reflektorów jedynie płonące w oddali zabudowania rzucały nikłe światło.

- Jasny gwint! - warknął ojciec. - Nasz reaktor diabli wzięli!

Dziadek otworzył oczy i ziewnął.

- Co teraz mamy? - zapytał. - Dzień czy noc?

- Dzień - odpowiedział pan Foster. - Zdaje się, że razem z reaktorem wyparował nasz sąsiad.

- Szkoda - rzekła mama. - Zawsze pamiętał o moich urodzinach.

- Tatku! - wrzasnął Jack. - Zrób bum-bum!

- Ja tam się cieszę, że szlag trafił te budynki - wyznał dziadek. - Smith miał w nich laboratoria doświadczalne. Podobno usiłował przyzwyczaić króliki do oddychania mieszaniną azotu i tlenu.

- Wariat - skostatował pan Foster.

- Tatku, zrób jeszcze raz bum-bum! - wrzasnął powtórnie Jack.

- Nie marudź, już dość mam strat!

- Bum-bum, ja chcem bum-buuum!

- Zrób mu bum-bum, bo dziecko może dostać kompleksów - poprosiła mama. - W piwnicy masz jeszcze kilka starych bomb neutronowych.

- Ale bez zapalników.

Kate spojrzała w stronę basenu.

- Mamo, George już wypłynął - zauważyła.

- O, widzisz, Jack - powiedziała pani Foster. - Jest twój braciszek. Przyholuj go do brzegu.

- Zbiera się chyba na deszcz - rzekł dziadek. - Czuję to w kościach.

- Reflektory zaczynają przygasać - spostrzegła mama.

- Wszystko przez ten piekielny reaktor - zdenerwował się pan Foster. - Akumulatory nie wytrzymują.

- Może rozpalimy ognisko? - zaproponował dziadek. Lepki mrok ogarniał patio. Reflektory z coraz większym trudem przebijały opończę zawieszin sadzy i ciał smołowatych. Zaczęło padać. Drobne kropelki radioaktywnego fenolu zraszały pokrytą towotem ziemię.

JACEK SAWASZKIEWICZ - PRAWDA

Przyznaję, przywiodła mnie tutaj zawodowa i przyrodzona ciekawość.

Mój mąż, archeolog, wertując któregoś niedzielnego popołudnia stare annały, spojrział w moją stronę znad opuszczonych na czubek nosa okularów, zabębnił palcami po rozłożonych kartkach i powiedział:

- Zabawne. Ekspedycja badawcza kierowana przez Teda Igistroema już przed trzydziestu laty wyjaśniła zagadkę pochodzenia kraterów w Karolinie, a moi szefowie zastanawiają się, czy nie rozpocząć tam znowu badań geologicznych na szerszą skalę.

- Igistroem? - przerwała mu nasza szesnastoletnia córka, Miriam. - To ten dziwak?

- De mortuis aut bene, aut nihii - skarcił ją ojciec, jak zwykle pełen sentencji.

- Plutarch - zakończyła Miriam. - Ale Igistroem nie umarł. Mieszka na wyspie San Salvador. Wiem o tym od Eveliny, bo jej ciotka, ta, co się jąka, wyjechała na urlop na Wyspy Bahama i na jakimś targu widziała go, jak handlował rybami czy tam czymś...

- To jego brat, Thor - sprostował mój małżonek. - Ted Igistroem zginął trzydzieści lat temu.

- Zginął w katastrofie? - spytałam, wykręcając z maszyny do pisania skończony właśnie felieton.

- Och, nie - odparł mąż. - To znaczy... Owszem, miał wypadek. Mówiąc słowami naszej przemądrzałej córeczki, odbiła mu palma. Postawił kilka niedorzecznych hipotez i zaczął szukać dowodów na ich poparcie. Miriam wyszła obrażona, a ja nadstawiłam uszu.

- Co to za hipotezy?

Mąż poprawił okulary, mruknął: „bzdura”, i wrócił do lektury. Więcej nie trzeba było, aby zaostrzyć moją ciekawość. Nazajutrz zatelefonowałam do redakcji, powiedziałam, o co chodzi, i wcześniej rano na pokładzie sanitarnego helikoptera udałam się na wyspę San Salvador. Drogę do domku Thora Igistroema wskazała mi pielęgniarka z miejscowej placówki medycznej. Siedzę teraz naprzeciwko czerstwego mężczyzny, którego nikt nie nazwałby starcem przed zerknięciem do jego metryki. Jest zupełnie siwy, tylko biel brody przetykają mu wątle pasemka miedzi. Spod krzaczastych brwi patrzą na mnie jasne, nieduże oczy. Igistroem ma na sobie błękitną flanelową koszulę, w której - przy tym upale - nie wytrzymałabym ani minuty, i grube drelichowe spodnie. Nagie, kościste stopy wcisnął pod fotel; dochodzi stamtąd chrzęst wyschniętych rzemieni sandałów. Na obdrapanej, gołej ławie leżą przedmioty wydobyte przed pół godziną ze zwalistego kufra rozpierającego się między koślawą szafą a zapadniętym wyrkiem. Z ich przeznaczeniem Igistroem przez kwadrans usiłował mnie zapoznać. Sącę zamrożoną cocę prosto z puszki i wystawiam twarz na powiew płynący od wentylatora. Igistroem opowiada monotonnym głosem. Upał, przesycający powietrze zapach morza i gnijących wodorostów, widok bezludnej, kamienistej plaży za drzwiami prowadzącymi na niską zapiaszczoną werandę - wszystko to sprawia, że relacja, której słucham, wywołuje w mojej wyobraźni szczególnie realistyczne wizje. - Nadałem depeszę do Jacksonville, do brata, żeby

przyleciał tu, na tę wyspę, ponieważ mam dla niego rewelacyjną wiadomość... tak napisałem. Brat zjawił się, jak tylko jego ekspedycja zakończyła badania i kiedy opracował „Raport o kraterach w Północnej Karolinie”. Zaprowadziłem go do Turquito, tego starego rybaka, który przeżył „gniew boga wody”. Usiedliśmy przed tamtą chatą. Wyciągnąłem butelkę, papierosy i konserwy. „Opowiadaj, Turquito” - powiedziałem. Turquito milczał. Patrzył to na niebo, to na zatokę oddzieloną od morza przez rafę koralową, to na swe ręce, przy których moje, zgrubiałe i chropowate przecież, wyglądały jak ręce kosmetyczki z salonu piękności w Victoria Hill - tak się nazywa ta osada tutaj.

„Rybacy wypływają przed wschodem słońca - zacząłem za niego, a brat przyglądał mi się sceptycznie. - Upał nie daje się wtedy we znaki, no i ryba nie schodzi zbyt głęboko. Turquito wypłynął razem z innymi. Już po pierwszym zaciągu mógł wracać - tak obifty był połów. Ale Turquito nie wracał: słońce właśnie weszło, pod powierzchnią wody roiło się od ryb jak w stawie hodowlanym; Turquito postanowił jeszcze raz zarzucić sieci”. Ten stary rybak wydał wargi i przytaknął moim słowom. Był przygnębiony i zrezygnowany.

„Chciwość - wymamrotał - to kara za chciwość... tak, tak...”

I umilkł znowu. Rozlałem calvados do szklanek, wypiliśmy. Po drugiej szklance wreszcie rozwiązał mu się język. Turquito opowiadał z lękiem, ale nie zapomniał o żadnym szczególe. Wprzód zauważył zaniepokojenie wśród ryb. Potem się zorientował, że nadciąga to. Wokół łodzi morze wyglądało jak powleczone warstwą rtęci, wiatr zamarł, zaległa dokładna cisza. Ryby pierzchły, pojawiły się natomiast gronerosty. Narastało delikatne syczenie. Turquito zabrakło w płucach powietrza i pociemniało mu w oczach. Zaczynał się dusić. Raptem syczenie ustało. Olbrzymi ciężar przygniótł rybaka do dna łodzi, w powietrzu gęstniała lepka mgła... Thor - Igistroem przerywa i wykrzywia usta. Ewentualnie można to wziąć za uśmiech.

- Turquito zaczął bajdurzyć o bogu, który wychynął z morza - podejmuje. - Bałem się, że brat wstanie znieczepliwiony i odejdzie, ale Ted wprost chłonał każde słowo starego. Potem Turquito wyjawiał, jak to Bóg w łaskawości swojej pozwolił mu wrócić na wyspę. Przygniatający Turquito ciężar ustąpił, powtórnie rozległo się syczenie, powierzchnia wody zawrzała, po czym z morza ku niebu zaczął padać deszcz. Z morza ku niebu - Igistroem wpatruje się we mnie. - Z morza ku niebu - powtarza, jakby sam nie dowierzał temu, co mówi.

- Zdumiewające - stwierdzam. Odklejam materiał bluzki od ciała i pozwalam, aby powiew z wentylatora ochłodził mój dekolt. Wszystko, co mam na sobie, jest raczej przewiewne, mimo to ociekam potem.

- Zostawiliśmy Turquito kilka butelek calvadosu, konserwy, karton papierosów, Ted wcisnął mi jeszcze kilkadziesiąt dolarów, i ruszyliśmy do domu. „To trójkąt śmierci?” - spytał brat. Pytanie było retoryczne, Szedł zamyślony i podekscytowany. Nie widziałem go nigdy tak podekscytowanego. Stało się dla mnie jasne, że to go wzięło, że od dzisiaj nie będzie dla niego ważniejszej sprawy. Taki był od dziecka. Uwielbiał te wszystkie niesamowite historie, nie opuścił żadnego filmu grozy, rozczytywał się w thrillerach...

„Możesz ten rejon nazywać trójkątem albo rombem - powiedziałem - podobnie zresztą jak tamten, położony antypodycznie względem bermudzkiego, poniżej wyspy Honsiu. Są to jednak określenia nieściśle, ponieważ oba rejony mają w rzeczywistości kształt elipsy. Koordynaty wszelkich tajemniczych katastrof naniesiono na mapy mechanicznie, później ktoś bezmyślnie przyłożył liniał, pociągnął trzy bądź cztery kreski i wzruszając naiwnie zadowolony się otrzymaną figurą: trójkątem

czy rombem”. Brat zachowywał spokój, odnosiłem wrażenie, że nie zwraca uwagi na moją gadaninę, więc dorzuciłem: „Turquito był pierwszym naocznym świadkiem tego zjawiska, jest pierwszym, który je przeżył. Dotąd znajdowano najwyżej szczątki sprzętów, ale nigdy nie znaleziono człowieka, bodaj martwego. Wiem o tym, bo przewertowałem wszystkie dostępne raporty”.

Ted odparł coś bez sensu, a kiedy dobrnęliśmy do domu, stanął przed wejściem, spojrzał mi prosto w twarz i zagadnął zniecka: „Ty również sądzisz, że są to lokalne zakłócenia grawitacji?”

Nie zaprzeczyłem, ponieważ odgadł moje myśli. „Takie zakłócenia by tłumaczyły - ciągnął podniecony - dlaczego w stanie Karolina aż gęsto od kraterów pometeorytowych. Wzmoczona, niechby tylko okresowo, grawitacja działać może na meteoryty niczym swoisty magnes. Większość z nich zostaje przez pole grawitacyjne przechwycona i ląduje w Oceanie Atlantyckim bez śladu. Pozostałe - przelatujące nad tym rejonem - których moment pędu przewyciężyć zdoła pole grawitacyjne, spadają nieco dalej od epicentrum, niemniej w pobliżu trójkąta czy - jak wolisz - elipsy śmierci. Część z nich trafia w strefę przybrzeżną kontynentu”.

Robi mi się nieswojo: wszak mieszkam na Wschodnim Wybrzeżu. Igistroem uspokaja mnie dobrotliwie. Skrzypiąc sandałami podchodzi do kufra, wyjmując z niego wyblakłą, podklejoną płótnem mapę, rozkłada ją przede mną z pietyzmem, stuka zgiętym palcem w odręczne szkice naniesione na Morze Sargassowe i mówi:

- Aktywność pola grawitacyjnego w elipsie śmierci wzrasta niesłychanie rzadko, jeszcze rzadziej meteoryt większy od ziarnka grochu dociera do Ziemi, a już wyjątkowego trzeba trafu, żeby taki meteoryt znalazł się nad elipsą śmierci akurat w momencie, kiedy wzmaga się jej aktywność. Kratery, które badał Ted, powstały w przeciągu dziesiątków, jeżeli nie setek tysięcy lat.

Jestem mniej niespokojna. Igistroem dostrzega to i jest z siebie zadowolony.

- Za tym, że w elipsach śmierci występują zakłócenia właśnie grawitacyjne - kontynuuje - przemawiają wszystkie dokonane przez Turquito obserwacje, wyjąwszy oczywiście rzekomego boga wody. Zakłócenia ogniskują się na obszarze ledwie kilku kilometrów kwadratowych i pojawiają się w różnych rejonach elipsy śmierci, zależnie od okoliczności.

Turquito, na swoje szczęście, przebywał na granicy takiego ogniska.

Pierwszy impuls grawitacyjny był ujemny, osłabił lokalnie przyciąganie ziemskie. Ciśnienie atmosferyczne raptownie spadło, powietrze rozrzedziło się, toteż Turquito z trudem łapał oddech. Następny impuls, dodatni, zsumował się z grawitacją ziemską. Ciężenie rozplaszczyło Turquito na dnie łodzi, napłynęło powietrze, a wraz z nim mgła. Trzeci impuls był ujemny, podobnie jak pierwszy, tyle że o większej mocy. Ciśnienie spadło do tego stopnia, że powierzchnia wody zaczęła gwałtownie parować, aż porywane intensywnym wrzeniem cząsteczki wody poszybowały ku niebu. Turquito nic nie wspominał o swoich ponownych kłopotach z oddychaniem, ale znajdował się na granicy ogniska, gdzie - zgodnie z prawami fizyki - powinny występować turbulencje wciąż napływających mas powietrza; ponadto był przerażony i zapewne musiał wiosłować jak opętany, w strachu o własną skórę, więc nie zwracał specjalnej uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Albo - co bardziej prawdopodobne - stracił przytomność, a zawirowania prądów morskich wyniosły jego łódź poza zagrożoną strefę. Cud, że jego organizm zniósł tę dekompresję... Dokładnie, wielokrotnie i wszechstronnie omówiliśmy z Tedem objawy grawitacyjnych anomalii. „Przeciwnie usytuowanie obu elips śmierci - stwierdził Ted - zwłaszcza nie spotykane w przyrodzie ukierunkowanie i koncentracja pola grawitacyjnego, wyklucza możliwość samoistnego i naturalnego powstania-takiego pola, wyklucza również możliwość, że pole to pochodzi z wnętrza naszej planety, nie wyklucza

natomiast możliwości, że mamy do czynienia z wiązką grawitonów bombardujących Ziemię z zewnątrz i przenikających ją. W związku z tym nasuwa się pytanie: Kto i w jakim celu wysłał tę wiązkę? Bo że została ona wytworzona sztucznie - jestem przekonany". Zrazu przyszło mi do głowy, że to próba kontaktu. Współ z bratem rozważyliśmy, a następnie odrzuciliśmy tę koncepcję.

„Wydaje mi się - powiedziałem - że rozwiązania należy szukać w kształcie elips, w ich trwałych przywiązaniach do terenu, w rozmieszczeniu ognisk i rytmie zaburzeń grawitacji. Chyba warto by ustalić położenie Ziemi podczas występowania tych, zaburzeń". „To zbyt techniczne - odrzekł Ted - Już teraz mogę cię zapewnić, że elipsy wykazują aktywność zazwyczaj wtedy, kiedy Ziemia zajmuje określoną pozycję w przestrzeni kosmicznej. Powinniśmy raczej rozpocząć od zarejestrowania przynajmniej jednego pełnego cyklu zakłóceń grawitacyjnych”.

Igistroem prostuje plecy, potrząsa siwą głową i wzdycha ciężko. Koszula pod jego pachami ciemnieje od wilgoci.

- Proszę pani - tłumaczy się - z rozmaitych raportów dowiedziałem się, jaki fos spotkał tysiące kutrów i łodzi rybackich, setki statków i stateczków, dziesiątki samolotów, które nieopatrznie znalazły się w zasięgu działania ogniska, z jakiego cudem umknął stary Turquito; na własne oczy widziałem roztrzaskane szalupy i kawałki pokładu, rozdarte skrzydło samolotu zaplątane w sieci, bezkształtną masę stalowych lin i żurawików ciśniętą podmuchem na rafę koralową, a przecież nie wydusiłem z siebie słowa protestu, kiedy Ted oświadczył, że wynajmie kuter, zainstaluje na nim aparaturę pomiarową i wypłynie na morze; nawet nie próbowałem go odwieść od tego szalonego zamiaru... Zresztą on i tak by mnie nie usłuchał... Moje nalegania, żeby zaniechał tej karkołomnej wyprawy, odniosłyby ostatecznie i tak odwrotny skutek.

„Ty zostaniesz tutaj - zdecydował - przy grawitografie. Dopilnujesz, żeby rejestracja przebiegała bez zbędnych przerw, będziesz zmieniać szpule, kontrolować zapis i czuwać nad zasilaniem”.

Trzy dni zajął nam montaż grawimetru na pokładzie „Roncadora”, wynajętego kutra. Potem Ted... - Thor Igistroem przełyka ślinę. - Mieliśmy ze sobą ciągłą łączność, brat rzadko z niej korzystał, przeważnie ja rozpytywałem. Teda interesowała głównie praca grawitografu. Grawitograf odbierał sygnały płynące z zamontowanego na „Roncadorze” grawimetru i kreślił linię, leciutko sfałdowaną, ponieważ był to diabelnie czuły przyrząd, a grawitacja ziemską nie jest doskonale stała. Tylko raz brat dał się wciągnąć do dłuższej rozmowy. Było to wieczorem, siódmego albo ósmego dnia jego dryfowania po „elipsie”. Przypuścił wtedy, że strumień grawitonów, jaki przenika Ziemię, jest nośnikiem informacji przesyłanej między jedną wysoko rozwiniętą cywilizacją a drugą i że Ziemia spełnia rolę wzmacniacza lub przekaźnika.

Po dwóch tygodniach Ted wrócił na ląd, żeby uzupełnić zapasy żywności i, wody.

„Co rozumiesz pod nazwą przekaźnik w odniesieniu do Ziemi?” - zapytałem go.

„Może strumień grawitonów załamuje się w jądrze naszego globu, żeby podążać dalej w pożądanym kierunku - odparł. - Sprzyjające kontaktowi warunki występują jedynie w momencie, kiedy Ziemia zajmuje takie położenie, że widać ją z obu kontaktujących się ze sobą układów. To by wyjaśniło, dlaczego ogniska zaburzeń grawitacyjnych spotykane są wyłącznie na ograniczonym obszarze, dlaczego pojawiają się w różnych miejscach tego obszaru i dlaczego elipsy nie wędrują po całej planecie”.

Na drugi dzień Ted opuścił wyspę. W środku nocy zbudził mnie jego krzyk dobiegający z radiostacji.

„Thor, zaczyna się, zaczyna! - wykrzykiwał. Był uradowany, o Boże, cieszył się jak dziecko. - Jestem sto dwadzieścia sześć mil od brzegu! Nie znam współrzędnych, ponieważ wszystko tu wysiadło, ale z pewnością nie jest to centrum zaburzeń, raczej rubież, tak, na pewno rubież! Ted, nie ruszaj się stamtąd i kontroluj zapis!”

Rzuciłem okiem na grawitogram, ten tutaj...

Thor Igistroem bierze do ręki rolkę szerokiej taśmy papierowej, rozwija ją. Widzę krzywą podobną do elektrokardiogramu, tyle że o łagodnych i długich grzbietach.

- Włosy mi się zjeżyły, jak zobaczyłem te skoki grawitacji. Niech pani popatrzy - podaje mi taśmę. - Ted musiał się czuć niczym w przedpieklu albo jak gdyby w czasie tornada leciał samolotem prowadzonym na dodatek przez oszalałego pilota.

„To niesamowite! - zawołał w pewnej chwili. - Niesamowite! - A w parę sekund później krzyknął:- Straciłem grunt pod nogami; nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół, wszystko się tu przewala i kotłuje, wokół zieleń i woda; masy wody, dosłownie kipieli!”

Jego głos już nie był radosny, pojawił się w nim strach.

Wrzeszczałem do brata, żeby się trzymał, żeby zawracał, żeby się położył na dnie lub spróbował dotrzeć do koła ratunkowego; pytałem, jak mogę mu pomóc... Ted przestał się odzywać, słyszałem tylko łoskot, wkrótce radiostacja w ogóle zamilkła. Do świtu łąziłem wzdłuż brzegu. Rano powiadomiłem władze o wypadku, zorganizowałem akcję ratowniczą. Minął miesiąc, poszukiwań zaprzestano...

Nasza rozmowa przez radiostację nie była nagrywana. Celowo nie kupiłem magnetofonu, żeby Ted nie pomyślał, że chcę utrwalić jego wrażenia i obserwacje na wypadek, gdyby nie było komu ich powtórzyć. Magnetofon podłączony do radiostacji świadczyłby, że przypuszczam, iż brat nie wyjdzie cało z tej wyprawy...

Po trzech czy czterech miesiącach wzięłem do ręki tę taśmę. Gapilem się na ten przeklęty grawitogram i gapilem - całymi godzinami. Zapisana krzywa potwierdzała nasze... to znaczy brata, przypuszczenia. W elipsie śmierci - dopiero wtedy uświadomiłem sobie grozę tej nazwy - rzeczywiście występowały zaburzenia grawitacji. Czy rytmy tych zaburzeń, kolejne sekwencje impulsów dodatnich i ujemnych, niosły jakąś informację - nie sprawdziłem nigdy. Ale któregoś popołudnia...

Igistroem rozwija szpulę, kładzie przede mną fragment taśmy.

- Któregoś popołudnia, wpatrując się w grawitogram, spostrzegłem te oto ząbkowane zniekształcenia szczytów. Trwały krótko, podczas jednego z ostatnich impulsów grawitacyjnych, i nie powtórzyły się więcej. Proszę, są ledwo uchwytnie, prawda?

Pochyliam się nad taśmą i kiwam głową, aczkolwiek mało co widzę. Sprawiam Igistroemowi przyjemność.

- Proszę pani - zwraca się do mnie ważąc słowa - jeżeli w pobliżu magnetofonu, który jest włączony na zapis i który nagrywa audycję wprost z gniazda diodowego radia, a więc bez pośrednictwa mikrofonu, zakaszlemy głośno, to nasz kaszel wprawi w drżenie membramę, a w konsekwencji spowoduje indukcję i przepływ słabego prądu przez cewkę głośnika. Stamtąd prąd popłynie przez kolejne podzespoły, aż trafi do głowicy, i wraz z nagrywaną audycją zostanie utwalony na taśmie magnetycznej. Odtwarzając audycję nie złowimy uchem nagranych kaszlu, ponieważ po pierwsze: jest zbyt słaby w stosunku do głównego zapisu; po drugie: - zmiesza się z innymi szumami. Ale odpowiednio selektywny i czuły miernik wykryje ten kaszel. Takim kaszlem są

te właśnie ząbki, a miernikiem, który go wykrył, był grawimetr. Rzeczony kaszel, naturalnie, należy traktować tu umownie, pewne jednak jest, że przechwycony przez grawimetr impuls zmodulowały nie zmierzone dźwięki. Tak, dźwięki. Bo kaszel to także dźwięk, a przecież można go zamienić na drgania elektryczne lub magnetyczne. Czy więc stoi coś na przeszkodzie, żeby - po przejściu przez stosowne przetworniki - przekształcił się w drgania grawitacyjne? I to już w zasadzie wszystko; z winy ludzi, ponieważ ludzie nie pozwolili, żeby ta historia miała swój koniec. Jest pani chyba ciekawa, czy udało mi się odczytać tę falę, która zmodulowała impuls, a ściślej - ten jeden z impulsów podstawowych? Poniekąd - tak. Nie będę pani zanudzał sprawozdaniem, ale się nabiegałem i namolestowałem dyżurnych operatorów „Multilingwy”, żeby pomogli mi zapisać drgania przełożyć na dźwięki i przetłumaczyć je. Dopiero poparcie moich waszyngtońskich przyjaciół spowodowało, że językoznawcy i kryptolodzy z Atlanty w stanie Georgia łaskawie udostępnili mi łącze do „Multilingwy”.

Thor Igistroem zdenerwowany szarpie brodę. Patrzy w otwarte drzwi, za którymi ciągnie się kamienista, bezludna plaża i drgają rozgrzane masy powietrza. - Trudno mieć pretensje do maszyny o brak polotu - cedzi z irytacją - ale ten elektroniczny tłumacz to bezprecedensowy idiota! - W następnej sekundzie ożywia się: - Słyszałem dźwiękową wersję tych drgań. To były słowa, to są słowa wypowiedziane przez istotę posługującą się mową! Można łatwo rozróżnić poszczególne sylaby, wyraźnie przebija z nich rozkazujący ton... Wie pani, może to śmieszne, ale wyobraziłem sobie taką scenę:

Na odległej planecie obsługa włącza nadajnik grawitonowy i kieruje wiązkę grawitonów w stronę Ziemi, która niebawem zajmie sprzyjającą do kontaktu pozycję. Emitery wysyłają pierwsze informacje. Aż naraz w przewodach zanika energia. Do hali nadawczej wpada dyspozytor. Krzyczy od progu: „Skorygować pole! Natychmiast skorygować pole!” Od krzyku drży konstrukcja nadajnika, jej drżenie przenosi się na podzespoły i transformuje w impulsy, w anemiczne impulsy, które wraz ze skorygowanym tymczasem polem docierają do podejmujących pracę emiterów, a stamtąd - na Ziemię. „Multilingwa” jednak nie potrafiła wyobrazić sobie takiej sceny, nic jej nie obchodziła istota problemu; na moje indagacje niezmiennie odpowiadała: Zero. W Instytucie Językoznawstwa zaczęli patrzeć na mnie nieufnie, wreszcie, kiedy uznali, że jestem nieszkodliwym dziwakiem - z ironią i niecierpliwością. Nie lubię być natrętny i stosunkowo łatwo poddaję się przeciwnościom losu, więc zaniechałem dalszych prób z „Multilingwa”.

Thor Ingistroem zwija taśmę, dźwiga się z fotela, na powrót utyka swoje drobiazgi w kuftrze. Wstaję i ja. Wentylator chłodzi teraz mój brzuch, a z góry leje się na mnie żar. Nie wiem, co powiedzieć na pożegnanie. Bąkam parę frazesów, ściskam Igistroemowi dłoń. Jego twarz nie wyraża niczego, jakby uczucia dawno się w nim wypaliły. Idę brzegiem, dość szybko, bo helikopter sanitarny, którym przyleciałam, wraca do Jacksonville za dwadzieścia minut. Od morza dmie łagodny wietrzyk, usuwa przykry mdłaścołodkawy zapach śniętych ryb i pleśni. Na drodze do małego szpitala stoi młody mężczyzna. Pod pachą trzyma zwinięty w kłęb kitel. Okazuje się, że czeka na mnie. Jest miejscowym lekarzem, rentgenologiem. Pyta, czy rozmawiałam z Thorem Igistroemem. Potwierdzam. Mężczyzna uśmiecha się, przechodzi na moją lewą stronę.

Drobimy wolniutko w kierunku polowego lotniska. Gorący piasek ustępuje nam pod butami.

- Proszę mi tego nie brać za złe - mówi mężczyzna - ale, ponieważ jest pani z prasy, lepiej by było, żeby miała pani plastyczny obraz tamtych zdarzeń. Igistroem faktycznie odebrał sygnały, rzecz jednak w tym, że pochodzenie ich nie miało żadnego związku z... hm, kosmosem... Nasz szpital

wzniesiony został na fundamentach nie istniejącego już obserwatorium geofizycznego. Na płycie, na której dawniej stał sejsmograf, zainstalowano aparaturę rentgenowską. Płyta posadowiona przez Igistromeów pod ich grawitograf, zbiegiem okoliczności miała te same drgania własne, co płyta pod rentgenem. Słyszała pani o rezonansie mechanicznym? Taki rezonans, za pośrednictwem aparatury rentgenowskiej i płyty, na której ona stała, wywołał poprzedni rentgenolog. Zatrudniał on asystenta, nicponia jakich mało. Asystent nie przykładał się do roboty, często prześwietlał zdjęcia, co doprowadzało rentgenologa do furii. Jedna z awantur wybuchła w dniu, kiedy pracował grawitograf Igistroemów. Złorzeczenia rentgenologa wprawiły w drgania konstrukcję nośną aparatury, a następnie płytę, skąd w postaci infradźwięków dotarły do płyty dźwigającej grawitograf obu braci. Rezonans przeniósł się na ramię pisaka, który utrwalił te złorzeczenia na papierowej taśmie. Rentgenolog był Kreolem, łatwo ponosił go ognisty temperament, a jak kłął, czynił to wyjątkowo głośno i w swoim prymitywnym dialekcie. „Multiingwa” zna wszystkie języki”? narzeczka, ale nikt nie nauczył jej przekleństw, zwłaszcza w języku portugalskim czy raczej w gwarze mieszkańców środkowego dorzecza Amazonki, więc nie potrafiła pomóc Igistroemowi. Wsiadam do helikoptera, chociaż pilota jeszcze nie ma. Lekarz niknie w wejściu do budynku szpitalnego. Patrzę za nim i zastanawiam się, w jakim celu powiedział mi to wszystko. Przecież w całej tej historii nie są ważne słowa, bez względu na to, czy wykrzyczał je rozwścieczony rentgenolog czy też pozaziemska istota. Z dziwnym uporem ludzie nie chcą przyjąć do wiadomości zasadniczego aspektu odkrycia braci Igistroemów: wyjaśnienia zagadki elips śmierci i pochodzenia ognisk grawitacyjnych zaburzeń. Bo zarejestrowane przez Igistroemów zaburzenia dobitniej świadczą o istnieniu pozaziemskich cywilizacji niż choćby autentyczne nagranie głosu dobiegającego z przestrzeni kosmicznej. Dlaczego większą uwagę przywiązujemy do niewiele znaczących omyłek aniżeli do osiągnięć naprawdę ważkich, które na dobitkę usiłujemy pomniejszyć albo wręcz ich nie dostrzegać? Czyżbyśmy wyznawali zasadę: „Nie prawda, lecz precyzja” - jak by zakonkludował mój mąż? I jeszcze jedno: przebieg zaburzeń grawitacyjnych w elipsie śmierci - zatem serię impulsów, wśród których znalazł się ten zmodulowany przez tajemniczą falę - grawitograf Igistroemów zarejestrował nocą! A w nocy gabinet rentgenologiczny nigdy nie był czynny.